

# PROLETARIUSZE WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

NR 18 (62)

CENA 1 ZŁ

## odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 1-3 Maja 1959 r.

JACEK LEBEN

# CZARNY ŁĄD

O afrykańska, dziwna ziemia,  
Gdzie kępy drzew i trawy drzemia  
Wśród morza piasku... Mówić strach —  
Bo wszędzie tylko piach i piach,  
I osadnicy, liczne słonie,  
Jaszczury, sprawy polityczne  
I rum w beczułkach z Konga brzegów  
I szczepy dzikich Tuaregów.  
Diamenty — gdzie tam do nich złoto —  
I bandy brudnych Hotentotów,  
Kulis (tu też klepia biedę),  
Wężę, co liczą metrów siedem,  
I lwy, pustyni istne diwisy,  
Co wściekłą chęć na ludzkie kości  
I wigor czują do starości  
Nie tracąc nigdy dumnej grzywy...  
Łąd, który piachu całe sterty  
Gna od Przylądka do Bizerty...

Nowoczesny podróżnik

Wieraz umieszczony tu książka Johna Gunthera pt. „Afryka od wschodu”.

**AFRYKA** — czarny ład, wielki kontynent o kształcie zdeformowanej wątroby czy nerki. 30 mln km kw, 198 mln mieszkańców, dzielących się na niezliczoną ilość plemion, mówiących 700 różnymi językami.

AFRYKA — 193 mln przeważnie czarnych Afrykanów i 5 mln białych Europejczyków, 600 tys. Hindusów, 60 mln mahometan, 112 mln pogan, 21 mln chrześcijan.

AFRYKA — nieprzebyte dżungle, bezkresne pustynie, wąskie pasma żyznej, urodzajnej gleby, nasłoneczniona brussa. Na jej niezmiernych obszarach tu i tam wioska złożona z szarych słomianych chat. Przekleństwo prażącego słońca i błogosławieństwo deszczu.

Cóż wiemy o Afryce? Niewiele. Kojarzą się jakieś obrazy z egzotycznych filmów, urywki z książek podróżniczych, wierszyki dla dzie-

ci. „Murzynek Sambo w Afryce mieszka”, rytmiczny dźwięk tam-tamów. Siłni, dobroliwi, ale głupawaj Murzyni, którzy czekają na łaskę z rąk białych panów. Dzielni misjonarze idący w głąb czarnego ładu „z kagankiem oświaty” i „prawdziwej wiary”. Dreszczyk grozy i przerażenia... ludożercy.

Wiemy o Afryce bardzo niewiele. Ale pociesmy się. Nikt o niej wiele nie wie. Nawet ci, którzy w niej mieszkają i ci, którzy przez nią podróżują. I prawda jest, że Afryka to ład nie zbadany i tajemniczy.

Historia Afryki tonie w pomroce dziejów. A jest to historia najbardziej w przeszłość sięgająca. Według nowoczesnych badań właśnie Afryka, a nie — jak przypuszczano — Azja Środkowa była kolebką ludzkości. To zresztą ma drugorzędne znaczenie. Znana jest historia Egiptu i pierwszego po upad-

ku Egiptu imperium afrykańskiego — Kartaginy. Istniało potem 500 lat przed imperium Karola Wielkiego wielkie imperium afrykańskie Ghana, które pozostawiło po sobie wspaniałe pomniki kultury i wykształconej władzy.

Mroki zatopły historię Afryki dopiero w późnym średniowieczu. Pasma historii przecięte zostało żelazem i zalane krwią. Czarny ład stał się dostarcycielem czarnych niewolników.

W ciągu 250 lat, od połowy wieku XVI aż do początku XIX w. Afryka straciła ok. 150 mln swych mieszkańców. Biali Europejczycy wywozili czarnych Afrykanów do Indii Zachodnich, do Ameryki. Arabowie na Bliski Wschód i do Turcji. Ginęli na plantacjach tańsi od bydła. Ginęli zabijani w czasie łowów, ginęli w czasie transportu pod dusznymi pokładami statków. Dzielili się mieszkańcy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej to Murzyn. Przeważają oni liczebnie w wielu państwach Ameryki Południowej, przemieszali się na dobre z ludami Bliskiego Wschodu.

Afryka została rozdarta, podzielona wzdłuż granic nakreślonych w drodze ugody między białymi. U progu XX w. Afryka została podzielona między 7 państw europejskich: W. Brytanię, Francję, Niemcy, Włochy, Hiszpanię, Portugalię i Belgię. U progu drugiej połowy XX w. istniały w Afryce 4 niepodległe kraje rządzone przez Afrykanów — Liberia, Libia, Abisynia i Egipt. W roku 1959 istnieje już 8 niepodległych państw Afryki. W ostatnich latach uzyskały niepodległość Maroko, Tunis, Ghana i Gwinea. Za rok niepodległymi się staną największa i najbogatsza kolonia brytyjska w Afryce — Nigeria i Somali.

Jest jedno jeszcze niepodległe państwo Afryki — Unia Południowo-Afrykańska, ale państwem tym rządzą nie Afrykanie, lecz biali. Rasizm w najbardziej drapieżnym wydaniu dominuje w tym kraju. Minister sprawiedliwości rządu Unii Południowo-Afrykańskiej R. G. Swart oświadczył, że „biały człowiek nie mógłby przetrwać, jeśliby czarnemu dało równe szanse”.

W XIX w. cała Afryka została skolonizowana. W XX w. Afryka się przebudziła. Po Azji Afryka w tysięcznych artykułach używa się określenia „przebudzenie Afryki”. Tak nazywa się niemal powszechne dzisiaj w Afryce dążenie do wolności, do niepodległości. 7 wolnych państw Afryki stanowi konkretny wyraz tego dążenia. W Algierze leje się krew, w Niassie i Kongu Belgijskim również 5 mln białych niedługo już chyba rządzić będzie czarnym kontynentem.

Jeżeli spojrzeć na liczby bilansujące ilość białych i czarnych w poszczególnych krajach Afryki, to dziwić się jedynie należy, że biali tak długo mogli rządzić. W Niassie na 2.400 tys. czarnych mieszka 4 tys. białych Europejczyków. W Togo francuskim na ok. miliona czar-



WIESŁAW JAZDZYŃSKI

## ŁÓDŹ — miasto młode

S tarsa i doświadczeni robotnicy nie pojawili się w dniu Majowego święta na ulicy Piotrkowskiej. Pociągną starymi szlakami dawnych demonstracji, spłyną z widzewskiego wzgórza, z Bałut, Starówki na plac Zwycięstwa, gdzie odbędzie się wielki wiec. A na Piotrkowskiej zatrzymuje młodzież. Jedyną — jak dotąd — arterią przydatną dla takich celów przejdzie wielotysięczny pochód dziewcząt i chłopców, barwny jak dojrzewająca wiosna, radosny, rozspiewany. Myślę, że jest w tym coś symptomatycznego.

Mamy już za sobą kilkanaście łódzkich świąt Majowych w powojennej Polsce. Nie umiałbym dziś dokładnie powiedzieć czym się od siebie różniły, choć dające namyślenia rozmaite wydarzenia, wydarzenia dostawały się na transparenty, bywały także mniej lub więcej spontanicznie w krzykiwane. Z pewnością w poszczególnych latach zmieniły się niektóre hasła, różnie też bywało z organizacją pochodów, obok szczerego entuzjazmu adarzono się i tak, że tysiące młodych ludzi, zmęczonych wielogodzinnym wystawianiem na deszczu lub słońcu, myślało już tylko o powrocie do domu.

Tego roku wychodzi na główną ulicę miasta młode pokolenie. Czy dlatego, że młodzież skora jest do entuzjazmu, albo może dlatego, że łatwiej było i weselszy?

W tradycji utrwaliły się rozmaite określenia Łodzi. Miasto tkaczy, włókiarzy, kominów, robotnicza, czerwona, re-

(Dokończenie na str. 2)

Dalszy ciąg  
na str.  
4



# ŁÓDŹ — miasto młode

(Dokończenie ze str. 1)

wolucyjna Łódź, stolica włókiennictwa, kominogród — nazwy te dźwięczą w poezji, powtarzają się w publicystyce i mowie potocznej, kojarzą Łódź z pracą, walką, pejążem, nie kojarzą jednak z młodością.

Myślę, że tegoroczne święto Majowe poszerzy w sposób szczególnie wzruszający i żywy dotychczasowe tradycje, wszystko wskazuje na to, że przybędzie nam jeszcze jedno określenie Łodzi — miasto młodości. Kiedy będziemy oglądać wielką rewie młodzieży łódzkiej, kiedy będziemy oklaskiwać nieoczekiwane figury marszowe, zestawienie kolorów, pomysłowość dziewcząt i chłopców, warto uświadomić sobie równocześnie, że ta kipiąca młodość w tym samym stopniu wyraża prawdę o Łodzi, co i dotychczasowe określenia. Być może dopisze pogoda, być może pod błękitnym niebem przemazszą studenci i młodzież ZMS z fabryk, harcerze, licealiści, sportowcy, wychowankowie rozmaitych szkół i instytucji. Huź jest ich w Łodzi?

Pomyśleć tylko — studentów ponad 12 tysięcy, więcej niż wszystkich mieszkańców Wielunia czy Łasku pomnożonego przez 2. Uczniów szkół podstawowych prawie 100 tysięcy, a więc tyle, co wszystkich mieszkańców Pabianie, Łęczycy, Łowicza i Belchatowa razem wziętych. Licealistów i uczniów szkół zawodowych ponad 27 tysięcy, przedszkolaków 12,5 tysiąca, co czyni razem prawie Piotrków Trybunalski. Jeżeli uwzględnimy całe szkolnictwo, uczy się w Łodzi ponad 160 tysięcy ludzi. A przecież to nie wszyscy, około 6 tys. młodocianych pracuje w przemyśle, drugie tyle wędruje się po ulicach naszego miasta. Gdyby doliczyć jeszcze resztę naszych najmłodszych milusińskich, okazałoby się że czesć ich co trzeci łodzianin to dziecko lub sztabak, albo akademik.

Mimo woli przypominają się w tym miejscu słowa Stefana Żeromskiego o młodości, która jest dziedzicem wszystkiego, pokoleniem niosącym wiosnę. Nie zawsze uświadomiamy sobie dostatecznie młodość naszego miasta, nie zawsze pamiętamy, że w cieniu kominów, obok rozdręganych fabryk, pracuje i dojrzewa w setkach szkół i instytucji młodość. Ta młodość — jak przewidywał Żeromski — pokłoni się nisko do stóp pracującego w odcyżnie człowieka, zaś on pasował ją będzie na swego rycerza.

Przed nami piękne święto, święto ludzi, którzy wzięli na siebie ciężar walki i odpowiedzialności za losy Polski socjalistycznej, święto zwrócone twarzą do młodych pokoleń. Trudno, zaiste, o bardziej trafne zestawienie — socjalizm jest bowiem młodością.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI



## HISTORIA Z LAURKA

Pomysł jak pomysł przyszedł. Do głowy o-czywiście i nie wprost. Wymyślić trzeba było „wielki temat”, „bombe sezonu”. „Szlagier” — jak to się mówi w redakcyjnych kuchniach. Każdy redaktor zna ten ból.

Myśleliśmy: w narodzie wciąż żyje ów szczególny po-ciąg do krzyżówek, gier, hazardów i konkursów. Nie-jedno pismo w Polsce dzi-siaj na tym stoi choć redak-torem się wydaje, że mają wzięcie z innych, wyższych racji. „Odgłosy” nie są wca-le lepsze. Czemu by nie spró-bować zbawić ich krzyżów-ką? Krzyżówką — gigantem, jakiej jeszcze nie było! Stąd konkurs mieszkaniowy. Mieszkanie — sprawa łódz-ka nr 1. Główna nagroda w tym konkursie — też miesz-kanie.

Parę tygodni konkretyzo-waliśmy ten pomysł. „Wój-kowie z forsą” — owszem chwaliłi ideę, mówili, że jest wielka. Lecz kiedy przycho-dziło co do czego, to znaczy do tej forsy, kręciłi nosem i to w sposób rzec by można naturalny. Tedy w świat po-

# POKŁOSIE TRUDNEGO KONKURSU

szły listy, memoriały, mani-festy...

Najtwardszy orzech mie-liśmy z mieszkaniem. Do dziś niejeden nam nie może go przebaczyć. Jak to, mieszkanie, przed-miot głodu, marzeń, dar Bo-ży socjalizmu, w ten sposób nigdy nie profanowany, nie-przeliczalny na złotówki, czynicie raptem „fantom lo-teryjnym”? My na to wprost przeciwnie. Co prawda to jest istotnie przedmiot głu-du, marzeń, ale żaden dar, lecz wartość przeliczalna na pieniądze. I konkurs nie lo-teria, bo uczestnicy przy tym popracują, przywykną cho-ciaż trochę do myślenia, przekonają się, że w Polsce już, na szczęście, mieszkanie to nie marna z nieba, tylko artykuł rzędu rowerów, pralek, motocykli, jakich człowiek się dorabia, z tym, że artykuł często ponad ludz-ką kieszeń, ale nie luksus.

Fundator nagrody przystał ostatecznie na ten pogląd. Powiedział przy tym, że ma słabość do „Odgłosów”, za co mu wdzięczność i wza-jemna słabość. Nakazał jed-nak najsurowiej obwarować tę nagrodę (czegośmy — Czy-telnicy i notariusz świad-czą — dopełnili). Za ojcem miasta, jak za ojcem, poszli inni fundatorzy, za co im także wdzięczność aż do zgo-nu pisma.

Tedy się stają. Przez kwartał z hakiem jeden red-aktor raz uczciwie w ży-ciu musiał popracować, pis-mo się mogło z hukiem re-klamować, z Czytelnicy (przynajmniej niektórzy) nie zlorzeździł jak co tydzień redaktorom, jako że pośród rozmaitych „chał” znaleźli zawsze „kupon konkurso-

wy”, będący jakimś pociesze-niem i nadzieją.

## DLACZEGO NIE BYŁO LAWINY?

Lawiny odpowiedzi nie by-ło. Poezja przyniła i czytelnicy sami doręczyli łącznie okragło 200 odpowiedzi. Nie-dużo i niemało. W sam raz na taki konkurs. Taki to znaczy: długo trwający i skomplikowany, polegający na: kupowaniu, czytaniu, wycinaniu, kompletowaniu, liczeniu i w ogóle wielora-kim wyszczególnianiu się na temat. Może co nieco prze-sadziłem, piętrząc czynności, ale że był to konkurs trud-ny, potwierdził każde dziec-ko.

## ZABAWA DLA DOROSŁYCH

Najmłodszy wiekiem kon-kursowicz (stopkarka) ma lat 19, najstarszy (księgowy) — lat 60. Przeciętna wieku lat 32,4. A zatem był to już nie tylko w założeniu lecz de facto konkurs dla do-rosłych.

Nie ilość, ale jakość wa-ży o wartości odpowiedzi. Tak się przynajmniej pocie-szamy.

Spośród tej sumy 200 osób zaledwie jedna uważa swoje warunki mieszkaniowe za dostateczne, mimo to odpo-wiada na pytanie. Chyba z przyzwyczajenia. 199 pozostłych osób uważa te wa-runki za niedostateczne, a zatem tworzy grupę zain-teresowanych nie ty-lko grą i nagrodami, ale problemem. W tym sen-sie grupa jest nieprzypad-kowa i reprezentatywna.

Można ją uznać za repre-zentatywną również ze

względów obiektywnych. Struktura zawodowa odpo-wiadających:

Robotnicy	66
Inżynierowie i technicy	50
Urzednicy	49
Nauczyciele	10
Studenci	6
Wolne zawody	5
Renciści i inwalidzi	3
Pielęgniarki	2
Wojskowi	1
Inni (przeważnie „przy mężu” czyli gospodynie domowe)	8

Nie dysponuję generalnym zestawieniem struktury za-wodowej społeczeństwa Ło-dzi. Nie wiem, czy czegoś takiego zdążyliśmy się do-pracować. Jeżeli tak — tym gorzej dla mnie. Niemniej tak na „niuch” dziennikarski zdaje mi się, że odgłosowo-konkursowe mikrosoczeń-stwo zbliżone jest w propor-cjach zawodowych do ma-krosoczeństwa Łodzi. Zde-cydowana większość robotni-ków, dość duża liczba inży-nierów i techników, propor-cjonalna — urzędników, nauczycieli i studentów, ni-klą reprezentacja wolnych zawodów i wojska (a zwłasz-cza tego ostatniego) — każą mi ryzykować taką tezę.

Mniemam ponadto, iż ta struktura naszej grupy wy-raża w dużym przybliżeniu faktyczną sytuację mieszka-niową poszczególnych grup społecznych Łodzi. Wiadomo, że najcięższa jest ta sytuacja pośród robotników. Źródło: nie tylko impresyjne obser-wacje, lecz i badania socjo-logów\*).

\* Omówił je mgr. Ta-deusz Miller w „Łódzkim Czasopiśmie Gospodarczym” nr 1.

(Dokończenie na str. 10)

## Nasza szkołka

Belfer usłyszał ostatnio o tym, jak to do domu jego znajomych wkraczała proble-matyka dyskusji o sek-sualnym wychowaniu mło-dzieży. Mianowicie do żo-ny owego znajomego, czyli znajomej, zameldowało się dwoje jej dzieci w wieku cztery i pięć lat, pytając: — Mamusi, dlaczego nas jeszcze „nie uświadomiłaś”? — Bo jesteście za małe... Po czym usłyszała komen-tarz do swego oświadcze-nia, wypowiedziany przez jednego z bąków do dru-giego: — Ona się boi, że jak nas uświadomi, to zrobimy nowe dziecko i będzie nam za ciasto.

Gdyby brak odpowiednich wykładów uświadamiają-cych istotnie uniemożliwiał ludziom praktyczną działal-ność populacyjną, może i warto byłoby z techniki produkowania dzieci uczyni-ciel państwową tajemnicę. Ze jednak nasi młodzi bliź-ni, jak tylko „przyjdzie ich czas” wykazują zadziwiają-cą (jeśli porównać ją z in-nymi dziedzinami poznania) zmyślność zarówno w uży-skiwaniu niezbędnej wiedzy teoretyczno-opisowej jak i wyszukiwaniu sposobności dla dokonania ćwiczeń praktycznych — dlatego też z owych czynności fizjolo-gicznych nie ma powodu czynić większej tajemnicy niż ze spraw stołca. Zaś rozróżnienie wieku wtajem-niczania w owe dwa arka-na życia wynika stąd tyl-ko, że praktykowanie noc-niczka przechodzi w ludz-

kim życiu chronologicznie wcześniej niż „łódzka”. Zdawałoby się, że praw-dę tę zrozumieli wszyscy — a nawet jeden ksiądz, któ-ry został za to ślicznie „u-mieszczony na fotografii” na łamach „Dookoła świata”. I oto w kilku szkołach wprowadzono wykłady z zagadnień seksualnych. W domiesieniach praso-wych na ten temat trochę dziwilo, że wykłady pro-wadzą... lekarze ginekolo-dzy, czyli ludzie zajmujący się techniką porodową, zamieślnicy od pewnych dam-skich organów, a przecież nie spece od spraw seksu-

cie integralną częścią. Ze przy okazji wykładu o tym jak rozmnąza się pantofe-lek uczy się tam i o tym, jak rozmnaża się człowiek. Nie wyobrażał sobie też Belfer, że sprawa takiej nau-ki może budzić w ogóle czyjejkolwiek sprzeciw, za-strzeżenia czy dyskusje. Dalej wyobrażał sobie Belfer, że seksuologiczne pogadanki podejmą spośród problemów fizjologiczno-hi-gienicznych co najwyżej kwestie sposobów zapo-biegania ciąży. Natomiast mniemał, że jest to le-ktorowanie bodaj na spo-sób dyskusyjny pewnego minimum prawd i pogląd-ów zawierających próbę uzasadnienia ich. O tym zaś, jakie poglądy

w jakikolwiek sposób uza-sadnić. Mniemam, że tak-kie lekcje będą próbą roz-mowy mądrego wychowaw-cy z młodzieżą m. in. na taki temat i wymiana myśli samych młodych. Okazuje się, że różne rzeczy sobie myślałem... Obecnie w Polsce ośrod-ki racjonalistycznej myśli nie puszczają w obieg ża-dnych społecznie użytecz-nych w sensie potocznym, zasad gry, zasad etycznych. Nie mam tu na myśli oczy-wicie tworzenia popular-nego katechizmu, ale kol-portowanie bodaj na spo-sób dyskusyjny pewnego minimum prawd i pogląd-ów zawierających próbę uzasadnienia ich. O tym zaś, jakie poglądy

i „w ciemno” różne kwe-ście szczegółowe. Powiadam — lepszy rydz niż nic. Ale rydz nie jest w najlepszym gatunku.

Oto wybrane z jednego numeru „Kulis” trzy nastę-pujące po sobie kolejne porady.

„22-letnia dziewczyna nie może się wiązać z dwukrot-nie starszym żonatym męż-czyną obarczonym trojgiem dzieci. Radzę wyjechać. Po-placze Pani i zapomni”.

Dlaczego nie może się wiązać. Wchodzi tu w grę dobro dwóch dorosłych lu-dzi i trojga dzieci. Dobro przeważnie antagonistycz-

„Nie powinna się pani po-łępić i rozpaczć. Każdej kobiecie może się w życiu jedna przypoda zdarzyć i jeśli nie szuka dalszych przy-gód, nie jest jeszcze godna potępienia”.

Ergo — jak szuka jest godna potępienia. A w ogó-le co za dziwne kryteria ilościowe w ocenie etycz-nej?

Porady w pismach, oczy-wicie, można by formu-łowac mądrzej. Ale w ogóle nie mogą one być sensowne w odniesieniu do konkretnych wypadków, z którymi lu-dzie się zwracają. Nato-miast istnieje społeczna po-trzeba, zarówno w odnie-sieniu do ośrodków propaga-ndowych jak i wykładów szkolnych — omawiania, po-części na zacierpniętych z życia przykładach jakichś zasad i kryteriów rozumo-wania w tych życiowych kwestiach.

Jeden jest kanon niewąt-pliwy: nie krzywdzić! Jeśli krzywdza jest nieunikniona — minimalizować ją.

Życie wykazało pewne schematy sytuacji: stanie się to i to, następują zaz-wyczaj takie i takie fakty lub uczucia stanowiące konsekwencje faktów pier-wotnych. Nie zawsze jest dobrze, gdy młody człowiek poznaje rozkosze życiowe mechanizmów na własnej skórze. Trzeba go uzbudzić. Uzbudzić na tyle, na ile jest to możliwe.

Nie wystarczy mu po-wiedzieć o maciech i ja-jowodach. Można pogadać i o życiu. Nie takie to zno-wu tabu. Każdy raczej prędzej niż później ociera so-bie o nie nos.

BELFER

# SEX — ŻYCIE CZY PODZIAŁ KOMÓREK

alnych, jako dziedziny ludz-kiego życia, człowieczej psychiki i etyki. Było to trochę tak, jakby filozoficzny problem czasu wyklada-li na uniwersytetach zegar-mistrze. No, ale można za-łożyć, że na bezrybiu i gi-niekolog filozofem. Przynaj-mniej załatwi fachowo-bio-logiczną część zagadnienia. Tymczasem okazało się, że znowu z enuncjacji praso-wych, że seksuologiczne wykłady zawierają w o-góle tylko problematykę fi-zjologiczno-higieniczno-bio-logiczną. Ze opowiada się tam o strukturze anatomi-cznych detali i różnych komórkach, które się dzielą tak, a nie inaczej.

Bardzo to waszego Bel-fra zdziwilo. Wyobrażał so-bie bowiem, że biologiczne aspekty zagadnienia wcho-dzą w zakres normalnej nau-ki biologii, której są prze-

biologicznej właśnie, od-strony problematyki etycz-nej. Ze jest to szkoła życia w takim sensie, w jakim jest ona w ogóle możliwa bez „zajęć” praktycznych a co za tym idzie własnej empirii. Ze właśnie tę o-statnią uatwila. (Ten ty-piekcji uprawiać ma wedle zapewnienia „Dookoła świa-ta” jeden łódzki pedagog, w jednej ze szkół zawodo-wych. Belfer zelektryzowa-ny tą sensacją usiłował go odszukać. Nie udało mu się to, więc zaczyna podejrze-wać, że redaktorzy „Dooko-ła świata” — Giełżyński z Wasilkowskim bohatera łódzkiego wymyślili).

Każda „dobrze ułożona” dzierlatka — piętnastolatek wypowie Wam zdanie, że sypiać z mężczyznami to „nieładnie” czy „niemoral-nie”. Żadna zaś nie potrafi sądów swych na ten temat

w tej sferze panują, świad-czą choćby ogłoszenia ma-trymonialne zawierające „referencje” w rodzaju „pana bez przeszłości”. Nikt zaś nie może reprezentantami etyki kościelnej np. nie za-stanawia się, czy ów „brak przeszłości” jest czy nie jest cnotą. Wszelkie racje pozabawione są jakiejkol-wiek motywacji. Ot, zwy-czajowo kursują „szkółki życia”, prowadzone na łamach niektórych czasopism. Nie mam zamiaru czynić z nich „kacika humoru”. Nie mniej wyrocznie te, mające ogromny wpływ na stan poglądów społecznych, roz-strzygają często w sposób szarlataniński by nie powie-dzieć hochsztaplerski w zawiłych ludzkich spra-wach, czyniąc tym niemałe szkody. Rozstrzygają bo-wiem w sposób arbitralny

ne. Każda taka sprawa to kwestia wyboru najwięk-szego dobra czy też naj-mniejszego zła. Sprawa skomplikowana. „Poplacze Pani i zapomni”. Co za-ton!

„Wykazał pan dość dobrej woli. Teraz niech decyduje żona i wybiera albo matkę, albo męża, skoro we troje wytrzymać nie możecie. Ale niech to nie będą czcze pog-róbki, ale prawdziwe ul-timum...”

Wybierać matkę, męża, prawdziwe ultimum — wszystko w tonie porad w dziedzinie wybierania ka-peluszy. Ludzie ulegają ga-zetowej wyroczni! Wyroc-znia powoduje dramaty. Bez-prawnie decyduje.

# 1 MAJA

w Łodzi



1936



1936



1936



1934



1936



WITOLD WANDURSKI

## AGITATOR

W cągowej marynarce, tuląc w palcach kołnierz,  
Biegnie truchtem po jeźdni armii pracy żołnierz.  
Piąta: wiec metalowców. Szósta — u włóknarzy.  
Więc truchcikiem, truchcikiem. Nagli mróz —  
towarzysz.

Zima, praczka gorliwa, namydliła śniegu  
Bańki placów w burzynch od mydła taniego.  
Jak pralnia mroźną parą nasiąkla ulica,  
Słońce, stara żarówka, mdło we mgłę prześwieca.  
Sala zebrań. Termometr kucnął niżej zera.  
„Towarzysze! Tu zimno jak jasna cholera!  
Na miasto! Na rozgrzewkę! Zapalić ogniska!  
Taszczyć z sądów, z policji stare papierzyska!”  
I znów dalej. O siódmej wiec u kolejarzy.  
Biegnie truchtem. Na głodno o dniu wielkim marzy.  
Po dziesiątej — do domu. Zadymka. Zawieja.  
Miasto — knieja odludna. Śnieg za kołnierz wieje.  
Pali kciuk odmrożony w rozdzwionym bucie.  
Ale tli się nadzieja — rozżarzony drucik.

1924

1937

# CZARNY ŁĄD

Dalszy ciąg  
ze str. 1



nych niecały tysiąc Europejczyków. W Sierra Leone obok 1.800 tys. Afrykanów mieszka 600 białych. Nie więc dziwnego, że amerykański publicysta Gunther pisał przed kilkoma laty:

„Jest to już zbyt oczywiste, że 11.750 ludzi białych nie może przeskoczyć 30 mln ludzi czarnych w uzyskaniu wolności, skoro już te miliony czarnych zdecydowały, że chcą być wolne. Żadne z państw europejskich nie zdoła na stałe utrzymać w zależności tak ogromnej masy, jeżeli nie chce być zależna a jest dość oświecona by dochodzić swych praw”.

Mieszkańcy Afryki nie mają nie do stracenia prócz kajdan. Europa, która mieczem wdarła na ich łąd niewiele zostawiła tam z cywilizacji.

„Lekarz — to jedyne usprawiedliwienie kolonizacji” — pisał ongiś francuski marszałek Lyautey. Ale rzec można nędzne to usprawiedliwienie w afrykańskich warunkach. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych jeden lekarz przypada na 750 mieszkańców, to we francuskiej Afryce Wschodniej i Tanganice na 28 tys. mieszkańców, w Sierra Leone i na Złotym Wybrzeżu na 34 tys. w Kamerunie Brytyjskim na 66 tys. w Togo na 80 tys. w Ruanda Urundi na 100 tys. Na czworo dzieci jedno umiera przed ukończeniem jednego roku życia.

A misja cywilizacyjna? Oświata? Według danych ONZ z 1951 r. ludność francuskiej Afryki Wschodniej i Zachodniej, Konga Belgijskiego, kolonii portugalskiej, i większości kolonii brytyjskich liczy od 90 do 100 proc. analfabetów.

Gunther pisał, że nie zdoła utrzymać władzy białych, o ile ludność murzyńska będzie dość oświecona, by dochodzić swych praw. Okazuje się dziś, że pragnienie wolności jest dość silne nawet wśród nie umiejących pisać Murzynów, że jest silniejsze od niewiedzy i ciemnoty.

Warto niewątpliwie uzupełnić ten obraz zestawieniem dochodu narodowego na głowę mieszkańca. W Stanach Zjednoczonych wynosi on 1870 dolarów rocznie, w Egipcie — 120 dolarów, a w Ugandzie — 50 dolarów. Afrykański Bantu reprezentuje najniższy poziom życia na całej kuli ziemskiej. Średni zarobek niewykwalifikowanego robotnika w Afryce Wschodniej wynosi 3—4 dolary miesięcznie, a roczny dochód waha się między 14—28 dolarami.

Nie więc dziwnego, że afrykańskie surowce przysparzają monopolom miliardowe zyski. Siła robocza jest za bezcen.

Nie więc dziwnego że wielki

światowy kapitał poczuł ostatnio „zew Afryki”. Prywatne amerykańskie inwestycje w Afryce zwiększyły się w ciągu ostatnich 5 lat o 750 mln dolarów. Były zastępcą kanclerza NRD Franz Blücher pisał w marcu 1956 r.: „Stanowisko Niemiec Zachodnich wobec Afryki jest jasne. Handel i przemysł zachodniomemiecki uznają Afrykę za cel nr 1”. Zaś baron Guy de Rothschild, którego grupa bankowa zdecydowanie zwróciła się ku bogactwom afrykańskim oświadczył: „Można przypuszczać, że wykorzystanie obecnych odkryć „afrykańskich” mogłoby w ciągu 20 lat dodać naszemu przemysłowi nowego bodźca, który by go wyniósł do rangi jednego z pierwszych w Europie”. A oto cytaty ze sprawozdania Nixona, wiceprezenta Stanów Zjednoczonych, który w czasie od 28 lutego do 21 marca 1957 r. złożył oficjalne wizyty w Maroku, Ghanie, Liberii, Ugandzie, Abisynii, Sudanie, Libii i Tunisie. Nixon stwierdził, że rozwój Afryki: „może okazać się decydującym czynnikiem w konflikcie między siłami wolności i międzynarodowego komunizmu...”

Mocarstwa kapitalistyczne inwestują w Afryce. Ale inwestycje te z reguły kierowane są do przemysłu górniczego i na plantacje. Mają one za zadanie przyspieszyć rozwój źródeł surowcowych. Inwestycje te jednak nie sprzyjają absolutnie rozwojowi rodzimego afrykańskiego przemysłu. A przecież, jak oświadczył przed 10 laty prezydent Indonezji Sukarno: „Kolonializm nie kończy się wówczas, kiedy znika obca flaga z palacu gubernatora, ale wówczas, gdy surowce i siła robocza przestają być jedynym bogactwem dawniej kolonialnego kraju.”

Przed niepodległymi krajami Afryki stoi problem nie leża. W jaki sposób osiągnąć poziom życia zbliżony do uprzemysłowionych krajów świata? Problem to trudny. W krajach dzisiaj wysoko rozwiniętych technika wytwarzania rozwijała się przez co najmniej 150 lat, a przed 150 laty maszyny i urządzenia wymagały o wiele mniejszych nakładów kapitału w porównaniu z dobą dzisiejszą.

Dzisiaj kraje zacofane nie mogą sobie pozwolić na luksus powolnego uprzemysłowienia. Oznaczałoby ono dalsze odstawanie. A więc trzeba przeskoczyć barierę, wejść od razu w nowoczesność. Ale nowoczesne inwestycje są bardzo kosztowne. Potrzeby przerastają możliwości. Droga rozwoju wysoko uprzemysłowionych państw kapitali-



Według  
**ROBERTA  
CHARROUX**

## Nie odnalezione skarby świata (II)

Jezuici boliwijscy, sprowadzając się w XVIII wieku, iż zakon ich będzie rozwiązany, zdołali ukryć niemal cały swój majątek. A że należały do nich liczne kopalnie złota — fortuna ta była niemała.

Więść niesie, że 650 Indian pracowało przez dwa lata nad budową podziemnego skarbcza, który nie został jeszcze odnaleziony.

W r. 1903 pewien angielski inżynier M. C. Prod-

gers podróżujący po Boliwii dostał do rąk dokument, sporządzony w 1778 r. przez jezuitów.

„Jeżeli odnajdziecie pagórek mocno zalesiony, dość stromy i którego splaszczony wierzch porośnięty jest wysoką trawą; jeżeli z tego pagórka będziecie mogli zobaczyć rzekę Sacambaya, szukajcie w trawie wielkiego, owalnego głazu, tak ciężkiego, iż 500 Indian musiało wyteżać wszystkie siły, aby go tam umieścić.

Jeżeli zaczniecie kopać na głębokości 5 jardów natraficie na sklepienie ogromnej jaskini, nad wydrążeniem której 500 Indian pracowało dwa i pół lat.

Sklepienie jest długie na 70 jardów. Dwoje drzwi prowadzi do wąskiego korytarza i przez wschodnią komnatę do sali głównej, znajdującej się w odległości 200 jardów.

Musiście być bardzo ostrożni w chwili otwierania drzwi. Gdy tylko je otworzycie, zobaczycie wielką złotą statkę, która ma oczy ze wspaniałych diamentów. Została ona tu postawiona dla dobra ludzkości.

Gdy pójdziecie dalej, odnajdziecie w pierwszym pokoju 35 wielkich waz ze szczerem złota oraz wielką ilość klejnotów złotych i srebrnych, ozdobionych drogiemi kamieniami.

W drugim pokoju jest wielka szkatuła, zamknięta na trzy zamki. Zawiera piastry i inne monety.

Trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż w tych komnatkach rozsypano dość trucizny, aby zabić cały pułk żołnierzy.

Kiedy przejdziecie przez wszystkie komnaty i korytarze dojdziecie do muru tak szerokiego, iż dwóch ludzi może jednocześnie przejechać po nim konno. Z drugiej strony rzeki jest kościół, klasztor i inne budynki”.

Dokument ten jest sformułowany sybilicznym stylem i niełatwo się w nim zorientować. Być może zresztą, iż został zdeformowany przy przepisaniu i tłumaczeniu.

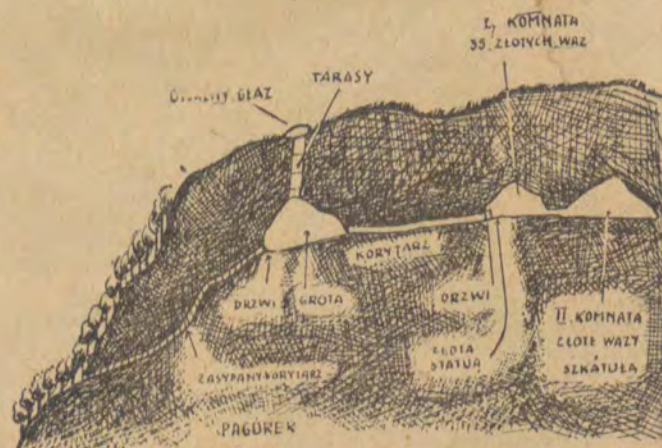
W każdym bądź razie, pomimo żywego zainteresowania, jakie wnieca skarb jezuitów i mimo wielu ekspedycji w latach 1903, 1925, 1926 i 1928 — nie został on dotychczas odnaleziony. Przypuszczalnie znajduje się w dolinie zwanej El Cabello Conco, niedaleko Plasuela, tam gdzie zlewają się rzeki Kato i Sacambaya.

### NIESAMOWITY TESTAMENT WATKINSONA: BRYLANTY NA DNI MORZA

Pod koniec 1938 r. zmarł w angielskiej miejscowości Hartlepool w hrabstwie Durham ekscentryczny doktor Watkinson.

Otwarcie testamentu było wielką niespodzianką:

„Wszystkie, posiadane przeze mnie kosztowności mają być włożone do kasy i wrzucone do morza, w odległości dwóch mil na północ od Hartlepool, w miejscu, które zaznaczyłem na załączonej mapie. Doszedłem do wniosku, iż klejnoty są przyczyną wielu nieszczęść, nieuczciwości, perfidii i niesprawiedliwości. Wiem, iż posiadanie takich kamieni robi z ludzi egoistów i zarozumiałców i doprowadza ich do moralnego upadku.



Plan skarbcza jezuitów.

Jestem więc zdania, iż wszelkie obiekty, mogące skorumpować ludzi, winny zniknąć z powierzchni ziemi.

Reszta mojego majątku, wynosząca dziesięć tysięcy funtów, przypadnie memu synowi, ale dopiero wówczas, kiedy spełni moją wolę i wrzuci klejnoty do morza. Gdyby nie chciał tego uczynić, przeznaczam tę sumę w całości instytucjom...”

Kosztowności, stanowiące majątek doktora Watkinsona, składały się głównie ze wspaniałych brylantów, nabytych w czasie wieloletniego pobytu lekarza w A-

fryce Południowej. Syn doktora Watkinsona zaatakował oczywiście testament ojca, nie zdołał go jednak obalić, gdyż dokument był pod względem legalnym sporządzony bez zarzutu. Tak więc w marcu 1948 r. w obecności władz sądowych brylanty zostały wrzucone do morza. Warte były kilka milionów...

### W NASTĘPNYM NUMERZE: 40 NAJCENNIJSZYCH SKARBÓW ŚWIATA.

Ze względów technicznych d.c. „Pustynnych Szczurów” zmuszeni jesteśmy zamieścić w numerze następnym.

stycznych jest absolutnie nieprzydatna w tych warunkach. Nie więc dziwnego, że kraje Afryki nie przynajmniej często do tego korzystają z wzorów krajów socjalistycznych. Niemal wszystkie zaakceptowały koncepcje planowej gospodarki. Zdumiewające szybkie tempo rozwoju Związku Radzieckiego, który przed 40 laty również zaczynał niemal od zera, czy Chin Ludowych — działa na wyobraźnię i na umysły. A zresztą samo istnienie obozu socjalistycznego daje tym krajom szansę na lepsze jutro.

Jeszcze do niedawna potężne mocarstwa kapitalistyczne dysponowały w stosunku do krajów zafalanych prawem dyktatu. Posiadały wszystko. Kraje Afryki nie posiadały nic. Dyktat znikł jak zła mara. Egipt utrzymał swą niezależność dzięki otrzymaniu wydatnej pomocy z krajów socjalistycznych. Sudan i Ghana niedługo zapewne po nią sięgną. Pomoc krajów socjalistycznych jest nisko oprocentowana. Jest skierowana na rozwój przemysłu, na kształcenie kadr technicznych, czyli skierowana jest na umocnienie samodzielności tych krajów. A zresztą istnienie obozu socjalistycznego zmienia stosunek państw kapitalistycznych do krajów Afryki. Z pana z pejczem w ręku muszą się oni zamienić w starającego się konkurenta, nęcącego większą pomocą. Chyba doskonałą ilustracją jest taki np. epizodzik: Mohamed V, władca Maroka, zaraz po uzyskaniu niepodległości przez jego kraj, udał się z wizytą do Stanów Zjednoczonych. Prezydent Eisenhower wita zazwyczaj swych gości u progu Białego Domu. Tym razem prezydent Eisenhower wyjechał aż na lotnisko by powitać dostojnego gościa. Stał przez pół godziny z odsłoniętą głową i przebieł się. Dlaczego prezydent Eisenhower czynił tak nadzwyczajne honory władcy małego, zafalowanego krainy? Po prostu dlatego, że istnieje przecież możliwość podróży Mohameda V do Moskwy i z punktu widzenia Białego Domu byłoby niedobrze, gdyby na lotnisku we Wnukowie powitano go z większymi honorami niż w Waszyngtonie.

Rytmiczne dźwięki tam-tamów płyną poprzez dżunglę i stepy Afryki. Płyną jak przed wiekami, jak przed dziesiątkami wieków. Nie zwołują one jednak dziś Murzynów jedynie do religijnych obrzędów. Z ich rytmu wyczytać można nazwiska przywódców Afrykanów, które coraz częściej również pojawiają się na czołówkach światowych gazet. Nkrumach, Sekoutoure, Banda, Kyenatta. Ich rytm wzywa Afrykanów do walki o wolność, o Afrykę dla Afrykanów. Ich rytm tę wolność zwiastuje.

JACEK LEBEN

TADEUSZ PAPIER

Na 10-lecie Spółdzielni Produkcyjnej w Wilkowicach

# Pan Kubas spółdzielcy



Na progu kancelarii zespołu rolniczego w Wilkowicach staje chudy, czarny chłop. Chce kupić żyto. Pyta o cenę. Nazywam go Kubasem. Kim jest Kubas? Nie wiem, kim jest Kubas. Nie wiem, czy skupuje żyto dla własnych potrzeb. Nie wiem, czy chce nim pohanlować. Kupić taniej, sprzedać drożej — znana reguła handlarzy wiejskich. Kupisz po żniwach, to taniej, sprzedasz na wiosnę, będzie drożej. Dzień idzie za dniem, wiosna za wiosną, zima za zimą, czasy się zmieniają, więc i pan Kubas przyoblekł się w nowe szaty, szaty współczesnego handlarza. Na wsi jest spółdzielnia produkcyjna, pan Kubas nie zapisał się do spółdzielni. Pan Kubas przyszedł kupić zboże. I nie to jest ważne, że Kubas kupuje zboże w spół-



dzielni, ale to, że spółdzielnia ma to zboże na składzie i Kubas wie o tym, przekonaliśmy się i uwierzyliśmy, że spółdzielnia zawsze mieć będzie zboże. Kubas z pewnością

## DNIÓWKA OBRACHUNKOWA

1950 rok	— 7 zł.
1952 „	— 25 „
1954 „	— 43 „
1958 „	— 73 „

wolałby, aby po niebie śmigły sputniki, eksplorery, aby przy pomocy cudów techniki ludzie zdobywali planety, byle tylko chłop kręcił się w kółko koniem na małym skrawku ziemi. Niech technika wyzwala każdego człowieka, byle nie chłopca z jego okolicy. Tu musi pozostać świat z czasów króla Cweczka, inaczej zginie Kubas, przedstawiciel chyba już końcowego pokolenia handlarzy.

Targ się nie udał, spółdzielnia to nie chłop na przednówku, za byle co nie sprzeda.

W kancelarii jest księgowy, są dwie dziewczyny, które pobierają osmusetzłotowe zaliczki i siwy spółdzielca. Spółdzielnia stwierdza: jest nam stanowczo lepiej niż indywidualnym.

## MAJĄTEK SPÓLDZIELNI

1952 rok	— 933.269 zł.
1958 „	— 2362.831 „

Przytacza cyfry, pokazuje dochód, mówi o kolonii domów spółdzielczych. Chcielibyśmy zwiedzić kolonię, ale to dzisiaj jest niemożliwe, samochodem nie można dojechać a o pieszej wędrowce nie ma co mówić. Jest błoto, deszcze, mroko. Mój towarzysz wyprawy zamknął aparat w futerale. Jest zły i kwaśny, jak tylko może być zły zawiedziony dziennikarz, któremu ucieka temat sprzed nosa. Nie chce robić zdjęć, ponieważ pada deszcz, ponieważ droga, domy, pola i wszystko, na czym spocznią oczy, jest poszarzałe, smutne, bez życia. A on nie pokaże takich zdjęć, na których nie ma słońca, tym bardziej, że sprawa dotyczy Jubilatki: zespół rolniczy w Wilkowicach obchodzi dziesięciolecie swojego istnienia. Towarzysz wymyśla mi od schematów, ale ja mu jego słońca nie wypominam. Wygląda na to, że nasza relacja przypominać będzie powieść bez bohatera i bez akcji. A chcielibyśmy, żeby obraz był adekwatny z rzeczywistością.

Nowe domy ledwie rysują się we mgle. To jest bardzo ciekawy temat ta kolonia. Można mówić o odrębności świata kolonii, o nowych kryteriach wartości człowieka, które się tutaj rodzą. Jak się kształtuje życie siedzące w tych domach? Jak żyją dzieci i młodzież? Siwy spółdzielnia powiada, że ich dzieci do piętnastego roku życia nie wiedzą, co to jest pasenie krów. Moim

zdaniami, miarą dla charakterystyki tego osiedla (które w oczach Kubasa godnie było ognia niebieskiego, jak Sodoma i Gomora) jest nie tylko ilość zjedzonego cukru, soli, tłuszczu, takie czy inne kwestie obyczajowe, ale również ich postawa. W oczach siwego rozmówcy i w oczach dziewcząt czytamy patriotyzm. Reporter napisze: ludzie okrzepi. Ale jak do tego doszło? Dlaczego spółdzielnia, księgowy, kobiety, chłopcy są zadowoleni i pewni siebie? Nie chcę powiedzieć, że w Wilkowicach jest zielanka. Protokoły z zebrań notują wiele dramatycznych spięć i konfliktów. „Na przestrzeni tych dziesięciu lat przeżyliśmy wszystkie okresy dobre i złe”. „Niektórzy członkowie naszej spółdzielni tworzą jak gdyby partię między sobą i dokuczają przewodniczącemu czy też członkom zarządu, nie bacząc na to, że sami po stokroć gorzej robią. Gdyby tak źle pracowali, jak mówił Cielniak, to dniówka nasza nie wyniosłaby 71 zł a 20, i kiedy nie będziemy się szanować, a zwalczać, to nie będziemy rozbudowywać naszej spółdzielni...”. Dowiadujemy się, że nasz siwy rozmówca, który w naszych oczach kandyduje na bohatera pozytywnego przyszłej opowieści, nazywa się Cielniak i jest tym samym, który tak ostro występował przeciw zarządowi. Daje nam to pretekst do zestawień i porównań bohaterów powieściowych i reportażowych z ich portretami z życia. Bardzo biedne są te portrety powieściowe. Pytamy się o plotki, o ożenki. Dziewczeta odpowiadają a-luzjami i drwią. Schemat psychologiczny tych odpowiedzi jest ciekawy. Ludzie nie lubią zmieniać raz przyjętych poglądów, dlatego każdego kto proponuje zmianę uważają za burzyciela i dają posłuch nawet najniebezpieczniejszym plotkom. Tak wyglądała przed dziesięciu laty sprawa ze „wspólnym kotłem”, czy „wspólną żoną”. I oto „Sędzia — czas”

## DOCHÓD OGÓLNY SPÓLDZIELNI

1952 rok	— 402.461 zł.
1954 „	— 486.254 „
1957 „	— 674.031 „
1958 „	— 806.875 „

— jak powiada Dąbrowska — rozwiązał tę sprawę w sposób nader prosty. Śmieszny straszak zmienił się w broń ironii i oto znowu jesteśmy na tropie narodzin tego, co się nazywa niewielkim może jeszcze, lecz pewnym zwycięstwem.

Zwiedzamy zabudowania gospodarze. Mój towarzysz jednak fotografuje. Przy drodze pracują mężczyźni. Traktor ciągnie przyczepę z gnojem. Krowy wracają od wodopoju. Siwy owczarz pompuje wodę dla owiec. Kubas ogląda nasz samochód. Mży. Wracamy. Przyłączamy się do życia Banku Rolnego: aby w przyszłym roku dniówka wypadła po 100 złotych!

## MATERACE HIGIENICZNE

wysokiej jakości z trawy morskiej  
duże — w cenie 356 — 380 zł  
dziecięce — w cenie 140 — 220 zł

## KUCHENKI KAFLOWE

przenośne w stalowej konstrukcji  
w cenie 730 zł

## OGRZEWACZE POKOJOWE przenośne

w cenie 740 zł

## TŁUMIKI MOTOCYKLOWE SHL i WFM

lakierowane w cenie 120 zł  
lub całkowicie niklowane w cenie 135 zł

## TŁUMIKI SAMOCHODOWE zunifikowane

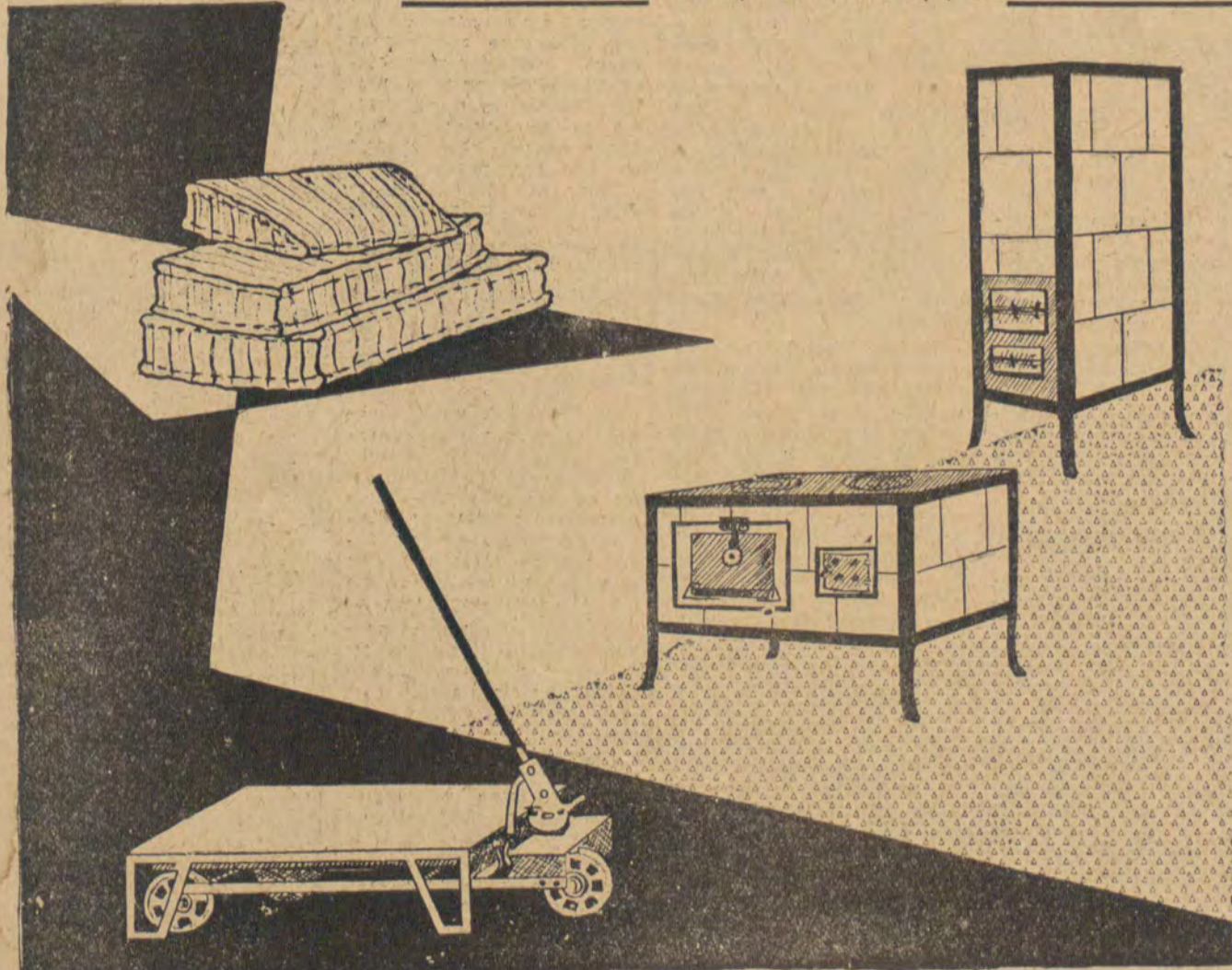
w cenie 125 zł

## WÓZKI TRANSPORTOWE SDE-600 i SDE-1000

produkuje:

PABIANICKIE, MIEJSKIE PRZEDSIĘBIORSTWO METALOWO-DRZEWNE PRZEMYSŁU TERENOWEGO

PABIANICE, ul. Nowotki 7/9, tel. 22-74





Brzozowa... Dębowa... Grabowa... Sosnowa... Czyż nazwy te nie przypominają nam lasu? Leśnych alei?

Niestety. Mimo tych miłych dla ucha nazw do lasu jest bardzo daleko, a Dębowa, Grabowa, Sosnowa, to po prostu nazwy ulic które skute brukiem otaczają moją ulicę — ulicę Brzozowa.

Dość długo myślałem dlaczego moja ulica ma taką, a nie inną nazwę. Być może, że hen, przed wiekami, szumiący tutaj olbrzymie lasy, które często odwiedzał jakiś możnowładca, a może sam król, który dla upamiętnienia swych odwiedzin zaznaczył w testamencie, że jeżeli w tym miejscu powstanie miasto, to te ulice mają nazywać się właśnie tak, a nie inaczej. Ale to zakrawa na bajkę. Bardziej realna wydaje się myśl, że któryś z radnych miejskich obdarzony fantazją chciał stworzyć pozorną bliskość lasu i dlatego dał te nazwy. Być może, że ulica Brzozowa wzięła tę nazwę od dwóch małych brzoź, które tu rosną?

#### MOJE NATCHNIENIE

Ulica Brzozowa jest krótka. Błędnie pomiędzy ulicami Strzelczyka i Przybyszewskiego. Jest to typowo fabryczna ulica. Obok siebie stoją na przemian dom mieszkalny i fabryka. I tak od początku do końca po obu stronach.

Na trawnikach wzdłuż ulicy białą się świeżo pomalowane wapnem młode drzewa. Są to w większości młode jarzębiny, a powinny być młode brzozy. Nieprawda?

Gdzieśgdzie między drzewkami widać gazowe latarnie. Myślę, że brzoza rosnąca na podwórku naprzeciw mego okna powinna rosnąć na ulicy, i to na honorowym miejscu.

Niekroć siadam za biurkiem i zaczynam pisać, wzrok mój pada na te brzoze. Patrzę na to drzewo i czuję, że przychodzi to, co szumnie nazywamy natchnieniem. Brzoza jest dużym, rozłożystym drzewem, o białoczarnej korze popękanej jak kraty więzienne. Im wyżej patrzymy, tym bardziej jest biała, bardziej delikatna, a cienkie gałązki przypominają drobne żyły dostarczające pokarmu do najbliższych komórek ludzkiego organizmu.

Często myślę, że dzięki „mojemu natchnieniu” ulica nazywa się Brzozowa.

#### MALINOWSKA SPROWADZIŁA SOBIE GACHA...

Wiosną ulica moja zaczyna grać gamą ludzkich głosów, staje się wesoła.

Słychać szezebiot dzieci, rozmowy dorosłych, szepty zakochanych. Wszystko śmieje się radośnie na widok wiosennego słońca, a robotnicy i urzędnicy kopią ziemię, by później posiać trawę. To jest czyn społeczny mojej ulicy.

Na podwórku wychodzą gospodynie, taszcą pekate pierzyny, materace, tapczany, dzierżą przy tym w ręku niedługo rekwizyt — trzepaczkę i zawzięcie wymachują rękami. Z okien często leje się na głowy przechodniów brudna woda.

Wiosną ulica Brzozowa zmienia się, przypomina

wieś. Z klatek wychodzą kury, kaczki i niekiedy gęsi. Raz nawet pojawił się dumny indor. Z okna na poddaszu wylatują gołębie i furkotem skrzydeł dają znać, że i one chcą korzystać z dobrodziejstw wiosny.

Patrzę na kręcący się drób, na fruujące beztropko gołębie człowiek zapomina, że jest w dużym mieście. Zdaje mu się, że uciekł od wielkomięskiego hałasu, od wyzlewu fabryk. Myśli, że jest na łonie natury. Zaczyna marzyć...

Ale odgłos pracujących tokarek, stukot młotków i zgrzyt metalowych pił każą wrócić do niezbyt przyjemnej rzeczywistości. Przyjemnie marzyć, prawda?

Moim zdaniem już tutaj widać pierwszy element różniący ulicę Brzozową od innych. Ulica Brzozowa położona jest na granicy



Śródmieścia i Chojek. Zdawać by się mogło że jest niemożliwe, aby w centrum miasta można było hodować zwierzęta, które chodzą sobie po ulicy niczym, beznamiętne psy, jakby nie rozumiejąc, iż samo ich zjawienie się jest nie lada sensacją. Zwierzęta klócą się tak wytrwale swoim dialektem, jak kobiety, kiedy znajdują się w swoim „klubie” — jak ktoś dowcipnie nazwał pobliską ma-

#### DZIWNY, STARSZY PAN

Kiedy jestem zmęczony lub źle się czuję — wychodzę, by pospacerować po mojej ulicy. Wtedy mija zmęczenie i znów jestem wesół, wraca mi dobry humor.

Zresztą lubię spacerować po ulicy Brzozowej i w tych spacerach nie jestem osamotniony.

Ot, na przykład, Codziennie można u nas spotkać miłą panią, która w towarzystwie swego czarnego „Misia” spaceruje po tej ulicy. Codziennie widuje też na mojej ulicy inną kobietę, spacerującą z dwoma małymi, ale rozkosznie szczeniakami. Jeden drugiego goni, potem na oczekaniu improwizują walkę o kamień i niezłym zapaśniczy rzucają się na siebie, by na ciche nawet zawołanie swej pani przerwać krwawą bój i tarzać się u jej stóp.

Moja ulica podobnie jak film lub sztuka teatralna ma swą charakterystyczną postać. Do niedawna taką postacią był stary człowiek w jasnym ubraniu z długą białą brodą, który zatrzymywał każdego przechodnia i tak długo molestował go, aż ten nie powiedział mu godziny. Nie przepuścił nikogo. Potem przyzwyczailiśmy się i każdy widząc tego człowieka przezornie zerkał na zegarek. Teraz ten człowiek zniknął, nie wiadomo co się z nim stało i tylko niektórzy pamiętają tego dziwnego starszego pana. Obecnie jego miejsce zajął inny, który każdy zrobotniony przemasza na wódkę, a kiedy jest pijany komponuje na poczekaniu przyspiewki z własną melodią i słowami. Kompozy-



#### Ulica Brzozowa

Ulica znów staje się gwałtem ale już mniej wesoła. Robotnicy idą do domów, Kominy fabryczne przestają dymić. Stopniowo niebo wypogadza się. Jest błękitne, a gdzieśgdzie widać biały obłoczek. Na twarze ludzi padają promienie wiosennego słońca. I wtedy ci sami ludzie wyglądają jakoś inaczej. Twarze ich wygładzają się, promieniają. Widać, że cieszą się z życia. Również i moje drzewo — moja brzoza, o której wspominałem na początku, nie pozostaje w tyle. Też chce żyć mimo swego nienajlepszego otoczenia. Myślę tutaj o murach otaczających to drzewo ze wszystkich stron. Mury nieczym katy znęcają się nad skazańcem.

Mury te, albo raczej ludzie, którzy je zaprojektowali



wali i wzniesli wydalili wyrok, że brzoza musi umierać stojąc wśród puszek od śmieci, gdzie latem roi się od szczurów. Ale moja brzoza nie poddaje się. Walczy! Bo czyż symbolem życia nie są małe paki na gałązkach, które pojawiają się z nastaniem wiosny?

O ile brzoza jest symbolem walki o życie, to jej towarzysząca — stojąca opodal akacja symbolizuje człowieka, który zrezygnował z walki o egzystencję i czeka na łaskę losu. Widok akacji przypomina zgrzybiałego starca czekającego na śmierć.

Te dwa drzewa rosną obok siebie, a mimo to tak bardzo różnią się.

Podobnie jest z ludźmi

mieszkającymi na ulicy Brzozowej...

Znam dobrze pewną rodzinę na naszej uliczce. Ojciec pięciorga dzieci prowadzi od lat bezskuteczny proces o sprawy spadkowe. Traci na to masę pieniędzy, a tymczasem jego żona, z trudem wiąże koniec z końcem, by jakoś dociągnąć do wypłaty. Pożywa, oddaje i tak na przemian przez cały miesiąc.

...A młodzi? Młodzi ludzie też mają swoje problemy, które starają się rozwiązać własnymi siłami. Młody chłopak na pewno chce mieć własny motocykl, ba, niekiedy ich marzenia sięgają po własny samochód. Te projekty starają się realizować różnymi sposobami. Jedni oszczędzają, inni sprzedają zegarek czy garnitur, lub próbują szczęścia w „Kulcieczce” lub „Totku”!

Powszechna zazdrość młodych ludzi budzi jeden z mieszkańców ulicy Brzozowej posiadający własną „Warszawę”. Ten człowiek dba o nią jak o dziecko. Stale krzata się przy niej, czyści, myje.

Zdarza się, że na moją ulicę przyjedzie któryś z nowoczesnych samochodów. Nowy model „Opla-Kapitana” czy „Zim”. Wtedy dookoła takiego wozu zbiera się grupka ludzi i drżącymi rękami dotykają karoserii, zagladają do wnętrza. Jest potem o czym mówić; dyskutować.

Ale nie tylko problemy



(Dalszy ciąg na str. 8)

MICHAŁ ZEGAROWSKI

## Ulica Brzozowa



powiednio drut i jeździł zawzięcie kółkiem po ulicy. Ten miał najlepsze kółko, który robił najwięcej hałasu. Teraz w miarę postępu nikt nie jeździ kółkiem. Każdy chłopiec i nie tylko on chce mieć własny rower. Konieczne dwukółki z prawdziwymi oponami.

Starsi wynoszą przed dom taborety, krzesła, siadają na nich i jedni grają w karty, inni rozmawiają, a kobiety obrzucają krytycznym wzrokiem przechodniów, szczególnie młode pary. Pomiędzy tymi ludźmi, między dziećmi, chodzą swobodnie kury. A to wszystko otacza błękitna aureola nieba.

Jeszcze inaczej wygląda ulica Brzozowa w zwykły powszedni dzień. Wczesnym rankiem zaspani robotnicy w szarych, powycieranych paltach idą do pracy. Ulica Brzozowa zaczyna żyć rytmem obcych kroków wystukiwanych przez ludzi. Staje się gwałtem. Każdy śpieszy się. Słychać wesołe rozmowy, śmiech. Partię fabryk nieczym potężne wentylatory wciągają wypoczętych ludzi do wnętrza. Niebo jest białe.

Kominy fabryk wyrzucają z siebie szary dym i powoli niebo staje się szare. Ulica pustoszeje. Zostają na niej tylko bawiące się dzieci. Od czasu do czasu przejeżdża samochód ciężarowy, rzadziej taksówka.

Po ośmiu godzinach portiernie tych samych fabryk wyrzucają z siebie zmęczonych robotników na ulicę.

gieł pod siedemnastym.

— Słyszałaś panj o tej Malinowskiej? — pyta jedna.

— Nie, a co się stało?

— To nie wie panj, że ta Malinowska zlapała nowego gacha?

— Nie.

— No, tego co się do nas dopiero sprowadzi. To ojciec od czterech dzieciaków. Mówie wam kobiety fajny chłop. Kierownik kina. Wygląda tak samo jak ten, no... Zerard Maurias. Tak, tak. A potem jeszcze Malinowska porozbił ją szyby za to, że żona tego faceta nie kazała im się kochać.

— A mówią, że ludzłom wolno się kochać — wtrąca druga. — Piosenki nawet śpiewają. Sam Fogg śpiewał „że... czas nie ostudzi ludzkich serc, gdy mocna miłość płonie”.

Takie i inne intymne sprawy wyciągają na światło dzienne zawsze ciekawe, nienasycone wiadomościami kobiety w swoim „klubie”.

tor na skałę ulicy Brzozowej.

Pewnego dnia ów człowiek zaproponował memu kolekdze sprzedać węgla. Kolega dał mu nieopatrznie załączkę i do tej pory nie widział ani węgla ani pieniędzy.

Dopiero później, po kilku dniach kolega przypomniał sobie, że ów pan przyszedł do niego z tą ofertą pierwszego kwietnia!

#### STARZY I MŁODZI

Latem w niedzielne popołudnie, kiedy słońce mocno grzeje, na mojej ulicy panuje małowiatostekowa atmosfera. Na ulicę wychodzą wszyscy. Dziewczynki grają w tzw. „klasę”. Z pewnością każdy zna tę grę.

Chłopcy kopią zawzięcie piłkę o ścianę. Jeszcze do niedawna każdy wyrostek uważał za punkt honoru posiadanie kółka. Nie, nie takiego do „hulahoopania”, ale po prostu koła rowerowego, w najgorszym wypadku musiały być to krążek z kuchni. Wyginał tedy od-

# KRAWACIARZE (II)



W latach 1949-50 na terenie Polski poczęła grasować banda rabunkowa, mordująca swe ofiary przy pomocy uduszenia krawatem. Śledztwo utknęło na martwym punkcie. Dopiero po kilku miesiącach milicji udało się stwierdzić, że odciski palców znalezione w mieszkaniu jednej z ofiar morderców należą do niejakiego Sprzeczkę. Ale nagle — w Krakowie — Sprzeczkę zostaje zamordowany, „uduszony krawatem”, a potem utopiony w Wiśle.

**Z**nalazienie osób, z którymi Sprzeczkę ostatnio przebywał — było dosłownie kwestią godzin. Ustalono trzy nazwiska: Matusiak, Szczegielniak i Suchar.

## Pętla zaciska się

Początków bandy „krawaciarzy” należy szukać w więzieniu sztumskim. Tam właśnie spotkał się 23-letni Jan Matusiak z 26-letnim Zdzisławem Szczegielniakiem. Raz już wyszli na drogę bezprawia, ale niestety nie wyciągnęli właściwych wniosków z kary. Być może przyczyniło się do tego skrócenie wyroków? Faktem jest, że już w Sztumie, Matusiak i Szczegielniak obiecali sobie „pracować” razem po wyjściu na wolność. W marcu 1949 r. widzimy ich w knajpie na Narutowicza, gdy omawiają swą pierwszą „robotę”.

Szczegielniak przedstawia plan. Dla jego realizacji trzeba jednak jechać do Wrocławia. Jadą. Tam „ładują” u kuzynki Szczegielniaka, która, jak to się mówi, „nadaje robotę”. Jej znajomy, właściciel sklepu radiotechnicznego jest człowiekiem zasobnym w gotówkę. Od niej dowiadują się szczegółów rozkładu mieszkania i rzeczy godnych uwagi. Te informacje dane rabusiom — to swoisty zresztą dowód wdzięczności wobec człowieka, który zapiekirował się nią i zabezpieczył materialnie.

Jest wieczór. Do mieszkania Rozenzwańca ktoś zapukał. Gospodarz otwiera drzwi i widzi przed sobą dwóch mężczyzn, z których jeden powołuje się na wspólnego znajomego i oferuje sprzedaż waluty. Rozenzwańc nie chce ich jednak wpuścić do mieszkania. Zostaje

odepchnięty, w rękach przybyszów pojawiają się pistolety.

Po chwili leży związany i przygląda się plądrującym pokoje rabusiom. Pod groźbą rewolwerów wskazuje miejsce, gdzie ukrył walutę i kosztowności. Matusiak ładuje jeszcze do walizki lampy radiowe, garnitur i po chwili są już na ulicy. Teraz na dworzec i do Łodzi. Następnego dnia zjawia się także kuzynka, która zabiera się „upłynieniem” zdobytych.

Po tym pierwszym wspólnym napadzie są jeszcze tylko pospolitymi rabusiami. Na ich rękach nie ma krwi ludzkiej, ale od rabunku do morderstwa tylko krok. Pierwsza ofiara to Frydman, potem Korosińska... Teraz już nie ma odwrotu — za nimi morderstwa i nieubłagany pościg sprawiedliwości. Przed nimi tylko dalsze zbrodnie.

Niedoświadczony 18-letni Kazimierz Sprzeczkę dał się wciągnąć do bandy. Ale nie umie korzystać z „doli”. Matusiak zaniepokojony zwraca się kompanom (Szczegielniak i Suchar — dalszy nabytek bandy): „Szczegielniak, szasta na prawo i lewo pieniędzmi. W olgi dnia wydał 100 tys. zł. Już go wzięli na przesłuchanie, nie wiadomo czy nie zacznie „sypać”... Zapada wyrok — sprzątnąć Sprzeczkę.”

Suchar zostaje w Łodzi. Matusiak wraz ze Szczegielniakiem zabierają Sprzeczkę do Krakowa. Na „robotę”.

Po przyjeździe nieodzwoniona ówczarka, potem następną. Teraz trzeba się trochę ochłodzić. Cała trójka idzie na Plac. Schodzą na dół nad Wisłę. Jest już 12 grudnia, dzień mroźny, ale bezśnieżny. Ślądają na trawie, aby omówić jeszcze pewne sprawy. Matusiak odchodzi na chwilę i wraca z kamieniem wielkości ludzkiej głowy. Uderza znienaćką Sprzeczkę w skroń. Chwila szamotania. Szczegielniak zaciska krawat na gardle Sprzeczkę. Krawat zrywa się jednak. Wtedy Szczegielniak zakłada ogłuszonemu już swój własny i kończy okrutne dzieło.

Zabierają dokumenty i pieniądze. Teraz tylko jeszcze kamień do szyi i wrzucają ciało do Wisły. Wtedy Szczegielniak zakłada ogłuszonemu już swój własny i kończy okrutne dzieło.

glupotę i chęć lekkiego życia. Po dokonaniu zbrodni Matusiak wraca do Łodzi, Szczegielniak do żony do Opoczna. Są przekonani, że zażegnali niebezpieczeństwo...

To była trzecia ofiara „krawaciarzy”. Aparat służby śledczej pracuje wytrwale. Wywiadowcy penetrują różne meliny i przygotowani na spotkanie z bandytami nie noszą krawatów.

## Dlaczego mordowali

Warto by się przez moment zastanowić co pchnęło tych ludzi na drogę zbrodni? Przeglądając akta sprawy nie trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Obaj mordercy nie działali ani z zemsty, ani też nie byli zmuszeni do tego nędzą. Matusiak zarabiał dobrze jako kierowca taksówki. Szczegielniak miał także zawód szofer-mechanik. Gdy przegląda się zeznania tego ostatniego ciągle przewijają się jak leitmotywy takie zdania: „Poszliśmy na obiad, wypiliśmy litra”, „Janek zafundował pół litra, ja się zrewanżowałem”. Albo: „Poszliśmy na Gdańską do prostytutek. Tam nocowaliśmy”. „Spotkaliśmy się przy marcezoną Janka. Kupiliśmy wódki. H. zawołała koleżankę. Zostaliśmy do rana”.

Takie było ich życie: rabunek, morderstwo a potem używanie życia, swoście, w sposób jak najbardziej prymitywnie pojęty. Charakterystyczne, że zrabowane pieniądze nie trafiały nawet do domów. Szczegielniak na przykład dał żonie 30.000 zł z prawie półmilionowej „doli”. Na odczepne.

Zarówno Matusiak jak i Szczegielniak należeli do typu morderców pospolitych. Ich niski poziom umysłowy (kilka oddziałów szkoły powszechnej) czynił z nich przestępców bardziej niebezpiecznych gdyż pozbawieni wszelkich skrupułów nie zdawali sobie sprawy z wartości życia ludzkiego. Matusiak na przykład nie cofa się przed morderstwem taksówkarza dla kilkunastu tysięcy złotych, aby wydać je na podróż do Szczecina. Życie ludzkie za bilet kolejowy. I dlatego czytając materiały dowodowe trzeba stałe wracać myślą do pierwszych wyroków odbywanych przez członków bandy „krawaciarzy”.

Matusiak odsiadywał 5 lat za usiłowanie zabicia człowieka. Ale już po 3 latach jest na wolności... Dlaczego?

W społeczeństwie naszym od dawna budzi wątpliwość przedczesne zwalnianie przestępców. Nie bez kozery słyszy się często komentarze — „dostał 10 lat, posiedzi z pięć...”

Przy sprawie Matusiaka pojawia się refleksja — kto wie, jakby potoczyło się dalsze życie tego człowieka, gdyby za swe pierwsze przestępstwo odpowiedział w pełni? Czy przedczesne wypuszczenie go na wolność nie zrodziło w jego głowie myśli o pobłażliwości prawa?

## Początek końca

Gdy „krawaciarze” coraz bardziej byli przekonani o swej bezkarności i spędzali czas na libacjach — aparat służby śledczej zaciskał pierścien wokół zbrodniarzy. W czasie Świąt Bożego Narodzenia — Suchar, Matusiak i Szczegielniak bawią się, zmieniając lokale. Na gwiazdkę obdarowują się nawet (a jakże!) prezentami. Matusiak otrzymu-

je od kolegów krawat(!?) Wie czym to się może skończyć i przezornie nie korzysta z podarunku. Wiążece ich zbrodnie powodują wzajemną nieufność. Jeden drugiego boi się i nienawidzi. Każdy pragnąłby, aby pozostali zniknęli z powierzchni ziemi. Wtedy nie byłoby świadków. Zachowują jednak pozory dobranej bandy i czekają na sposobność, a wtedy...

Zrabowane pieniądze kończą się — trzeba myśleć o następnej „robotce”. Robią już nawet „rozpoznanie” u handlarza na ul. Armii Ludowej.

Dnia 29 grudnia Matusiak wraca o 1 w nocy do domu. Przechodząc koło okien widzi uzbrojonych ludzi w pokoju. Tym razem wywiadowcy się nie popisali. Matusiak wycofuje się, bierze taksówkę i jedzie do mieszkania Suchara, lecz gdy dojeżdża do celu widzi jak kompana wyprowadzają do samochodu. Wszystko staje się jasne — wyspa! Uciekać, jak najdalej!

Tym razem Matusiakowi udaje się uciec. Pierwszym etapem ucieczki jest Wrocław. Jednak cel ostateczny ucieczki, to Szczecin, gdzie „pracują” więźniarni kłaniani. Dla zdobycia pieniędzy na podróż morduje na drodze do Strzelna taksówkarza. Zaciśnięty na szyi ofiary krawat daje znak milicji, że tu był ostatni „krawaciarz”. Pociąg unosi Matusiaka do Szczecina. Czy uda mu się uciec, czy czterokrotny morderca zostanie bezkarny?

Szczecińską działalność Matusiak zaczyna od zorganizowania nowej bandy, w skład której wchodził Klecol — stary znajomy z więzienia, oraz jego sąsiadzi: Lucjan Olszewski i Jan Olszewski.

Ich działalność — to morderstwa, morderstwa, morderstwa... Aż się wierzyc nie chce, że dla dziesięciu czy dwunastu tysięcy złotych (przed wymianą) można było zamordować człowieka.

W lutym 1950 postanowili dokonać napadu na kasjera Samopomocy Chłopskiej w Choszczynie. Pojechali taksówką. Trzeba było jednak pozbyć się szofera, niewygodnego świadka, więc go udusili krawatem i zabrali mu 12.000 zł. Za kierownicą usiadł Matusiak.

Kasjer przyjechał samochodem, więc napad się nie udał. Następnego dnia czekali na kasjera, ale znów napad nie doszedł do skutku.

Po częściowej „wpadce” kiedy to aresztowano Olszewskich — Matusiak i Klecol ukrywają się, ale gdy im brakło pieniędzy, postanawiają powrócić do sprawy kasjera w Choszczynie.

Czekali na niego dwa dni. Jechał rowerem. Matusiak sterroryzował go pistoletem i odebrał 70.000 złotych. Ale kasjer zobaczył stojącego opodal Klecola, którego przecięzł. Trzeba więc było sprzątnąć niewygodnego świadka...

I znowu krawat...

Po jakimś czasie aresztowany został Klecol.

Matusiakowi zaczęła się ziemia palić pod stopami. Postanowił pojechać w okolicy Łodzi i tutaj ukryć się. Udał się do swego kuzyna koło Kutna i tam pracował w polu, oraz po-

magal przy budowie domu. Trwało to kilka tygodni.

Do poszukiwań Matusiaka włączono cały niemal aparat milicyjny. Obserwowano całą rodzinę, nawet najdalszych kuzynów. Przewertowano wszystkie środowiska przestępcze. Kontrolowano meliny.

Rozumowano zupełnie logicznie, że teraz Matusiak poszuka sobie cichego kąca, aby jakoś przeczekać poszukiwania. Dlatego cały nacisk położono na obserwację rodzinny, zamieszkałej w małych wioskach, pod lasem, daleko od posterunku MO.

Wreszcie nastąpił oczekiwany finał.

Matusiak pracował przy żniwach, gdy podszedł do niego dwóch strażaków i ormowiec, pytając o drogę. Nagle wyciągnęli pistolety z okrzykiem: „Milicja! — Ręce do góry!”

Matusiak skoczył do miedzy, chwycił leżącą tam marynarkę i zaczął uciekać w stronę lasu, wyciągając z kieszeni Visa.

Milicjanci oddali szereg strzałów ostrzegawczych, ale gdy to nie pomogło, zaczęli strzelać do uciekającego.

Nagle Matusiak stanął i podniósł ręce do góry. Z lasu wyszło trzech innych milicjantów zamykając mu drogę ucieczki.

Pół roku trwała dokumentacja działalności bandy.

Wreszcie odbyła się rozprawa.

Matusiak został uznany winnym: założenia bandy, nielegalnego przechowywania dwóch jednostek broni, 5 morderstw wraz z rabunkami, jedno usiłowanie zabójstwa, dwa rabunki oraz osiem usiłowań rabunków.

W sumie Matusiak otrzymał za swą działalność: 6 kar śmierci, 6 razy dożywocie oraz 125 lat więzienia. Wyrok łączny — kara śmierci.

Szczegielniak — za udział w bandzie, nielegalne posiadanie pistoletu, trzy morderstwa, dwa rabunki i dwa usiłowania rabunków otrzymał 4 razy karę śmierci, 4 razy dożywocie i 35 lat więzienia.

Wyrok łączny — kara śmierci.

Suchar — kara śmierci, dożywocie i 64 lata więzienia. Wyrok łączny — kara śmierci, zamieniony na dożywocie, z powodu niskiego poziomu intelektualnego.

Obecnie Suchar jest już na wolności.

Tak zakończył się jeden z fragmentów wielkiej bitwy z przestępczością. I chociaż stróż prawa nie ustąpił się od błędów (pamiętajmy — rok 1949) to jednak w swych kronikach mogą zanotować pełny sukces — grupa niebezpiecznych przestępców została ujęta i postawiona przed sądem. Za popełnione zbrodnie, wymierzono sprawiedliwe wyroki.

Koniec bandy „krawaciarzy” nie oznaczał jednak dla organów śledczych milicji opanowania akt sprawy i odłożenia ich na zakurzoną półkę archiwum. Bowiem nie wystarczy zlikwidować bandę i oddać ją w ręce sprawiedliwości. Ludzie pokroju Matusiaka i Szczegielniaka odchodzą na zawsze, ale pozostają tni, którzy po odbyciu kary wychodzą na wolność. Stają się znów pełnoprawnymi obywatelami. Ale czy nie wejda znów na drogę bezprawia? Czy np. Suchar wyciągnął naukę z kary?

Są to wszystkie sprawy nie mniej trudne niż śledztwo. Trzeba roztoczyć nad eks-przestępcą dyskretną opiekę, która by w niczym nie krepowała jego swobody, taką jednak, aby była wystarczającym środkiem profilaktycznym.

LUDZIE W STAŁOWYCH MUNDURACH I ICH KOLEDZY „W CYWILU” STOJĄ PRZED CIEŻKIMI ZADANIAMI. W SWĘJ WALCE, KTÓREJ OSTATECZNYM CELEM JEST ZAPEWNIENIE NAM SPOKOJU — POTRZEBUJĄ POMOCY I ŻYCZLIWOŚCI WSZYSTKICH UCZCIWYCH OBYWATELI.

odgłosy str. 7



# LISTA NAGRODZONYCH

w konkursie „Wszystko o mieszkaniach”



Ob. Jerzy Kubik, zdobywca nagrody specjalnej.

W publicznym losowaniu, odbytym w dniu 26 kwietnia br., nagrody konkursu „Wszystko o mieszkaniach” padły na następujące osoby:

**NAGRODA SPECJALNA** — ufundowana przez Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi, MIESZKANIE 2-POKOJOWE Z KUCHNIA — JERZY KUBIK, zam. w Łodzi, ul. Różycyńskiego 6.

### NAGRODY GŁÓWNE:

I. 5000 zł — nagroda ufundowana przez Związek Spółdzielni Mieszkaniowych, Oddział w Łodzi — ANDRZEJ STASINSKI, zam. w Łodzi, ul. Ogrodowa 24.

II. 3000 zł — nagroda ufundowana przez PKO, Oddział Wojewódzki w Łodzi — TADEUSZ ŚWIĄTKOWSKI, zam. w Łodzi, al. Kościuski 24.

III. 2500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Nar. w Łodzi — TERESA SKRZECZ, zam. w Łodzi, ul. 22 Lipca 88.

IV. 2500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Nar. w Łodzi — HELENA GRUCHAŁA, zam. w Łodzi, ul. Nowotki 19.

V. 1500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Nar. w Łodzi — TERESA BORUCH, zam. w Łodzi, ul. Gdańska 1.

### NAGRODY DODATKOWE:

1. 1000 zł — nagroda ufundowana przez PKO, Oddział Wojewódzki w Łodzi — KAZIMIERZ NOWAK, zam. w Rawie Mazowieckiej, ul. Podlas 19.

2. 1000 zł — nagroda ufundowana przez PKO, Oddział Wojewódzki w Łodzi — JAN ROBAK, zam. w Łodzi, ul. Podbiałowa 3.

3. 500 zł — nagroda ufundowana przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Nar. w Łodzi — JERZY SKAWINSKI, zam. w Żelowie, ul. Piotrkowska 12, pow. Łask, woj. Łódź.

O terminie i miejscu odbioru nagród wyżej wymienionych zostaną w najbliższym czasie powiadomieni.

# PALETA

pod redakcją  
HENRYKA ANDERSA

Może zauważyliście, że wielcy mistrzowie różnych epok, a już szczególnie okresów dojrzałości sztuki, wybierali jako model do portretów raczej starców niż urodziwą młodzież. Sprawa jest dość prosta — im piękniejsza jest głowa, im bardziej posagowe rysy, tym banalniejszy staje się wy-



Głowa mężczyzny, rzeźba z okresu neolitu, znaleziona w Jugosławii około 2000—2500 p.n.e.)

raz. Portrety takie łatwo wpadają w oko, ale po niedługim czasie nudzą i widza i artystę.

Tymczasem głowy starców są nader interesujące — doświadczenia długiego życia nadają im niepowtarzalny, indywidualny charakter. Radość dla oczu, przyjemność często zmysłowa nie wytrzy-

muje konkurencji z prawdą psychologiczną: głębię psychiki, bogactwo wyrazu cennym bardziej niż urodę zewnętrzna. Piękno nie dorównuje prawdzie.

Ma to swoje uzasadnienie artystyczne. Wyraz można zawsze jeszcze pogłębić, kto by chciał dążyć do absolutnej doskonałości w pięknie — zabiłby sztukę. Zaobserwował to już wielki malarz romantyczny — Delacroix.

By nie walczyć zbyt bezciele z tym — zastanówmy się tylko, czym jest piękno formy, samo w sobie? Najszlachetniejsza kreska, najbardziej czysta i równa, najbardziej gładka powierzchnia — alez najwprawniejsza, mistrzowska ręka nigdy nie doświadczenia jaką bez trudu osiąga maszyna.

Dlatego to właśnie sztuka naszych czasów — w teorii i w praktyce — troszczy się o jakość dzieła, o jego (względne tylko) wartości formalne i (w znacznie większym stopniu) o siłę oddziaływania, ale na ogół wyraźnie lekceważy piękno modelu.

Próbując odtworzyć wyraz osoby portretowanej możemy jednak wybrać jedno z dwóch możliwych rozwiązań. Albo będziemy dążyć do pokazania całej złożonej psychiki człowieka, a więc będziemy się starać uwzględnić jednocześnie jego indywidualne cechy charakteru, wrytą na twarzy sunię doświadczeń całego żywota oraz chwilowy, przelotny nastrój — tak postępował na przykład Rembrandt — albo, poprzez selekcję i odrzucenie momentów mniej ważnych, będziemy próbować tym silniej podkreślić jedną, dominującą cechę — czy to charakteru modelu, czy też jego stanu psychicznego w danej chwili. Taka jest raczej droga sztuki nowoczesnej, co można wykazać na wielkiej ilości dzieł.

Ale drogi tej wcale nie wynalazł wiek dwudziesty.

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

# NIE MA LITOŚCI dla pana PIÓRKI



Niejaki Piórko wędruje po świecie. I choć świat ten jest dość okrutny, Piórko, to trzeba przyznać, czuje się na nim znakomicie. Mówiąc zresztą ściślej, to nie Piórko wędruje, to inni wędrują po Piórcie, deptają go, kopią, okładają kulakami, wyrzucają z pociągu, karmią indykami nadziewanymi robakami, skazują na śmierć przez rozstrzelanie.

I tak upływa życie niejakiego Piórki, opisane przez francuskiego poetę Henri Michaux. Nie sądzę, byśmy musieli litować się nad Piórką. Świat, w którym żyje nasz bohater, jest niewątpliwie światem absurdalnym. Ale absurd tego świata jest zawiniony przez samego Piórka. Bo Piórko jest piorunochronem, zbiera na siebie ciosy, zaledwie ośmiela się istnieć, powtarza czyni innych. Bliźni strzelają do Piórki, więc Piórko strzela do bliźni. Bliźni wędrują po Piórcie, deptają go, Piórko natomiast oblewa bliźni jedyną. Jego działania są równie bezsensowne jak działania antagonistów. A także równie okrutne. Piórko jest ofiarą losu. Ale jest nią nie dlatego, że wyroki losu są nieublagane, ale dlatego, że on sam, Piórko, nie potrafi, nie może, czy nie chce znaleźć się w konflikcie ze światem.

Henri Michaux nie akceptuje porządku współczesnego świata, sprzeciwia się potędze losów. Ale — to trzeba wyraźnie powiedzieć — nie akceptuje również i Piórki. Piórko nie jest bowiem bohaterem naszego świata. Jest postacią śmieszna, a także, być może, niekiedy godna pożałowania. Ale przede wszystkim śmieszna. I, jak już powiedziałem, okrutna. Dlatego właśnie nie ma litości dla niejakiego Piórki. Nie lituje się nad nim ani autor ani czytelnik.

Nad Piórką zlitował się natomiast Zbigniew Kosiński, realizując na scenie tekst francuskiego poetę. Kosiński zaakcentował Piórkę. I postawę bierności — bo Piórko to bierność, tylko bierność, nic więcej — uznał za postawę bohatera.

Spektakl w Szkole Plastycznej, z którego zdjęcia przedstawiamy obok, zrealizowany został siłami amatorów. Nie wypada więc nadawać ocenie ni gry aktorów, ni poszczególnych rozwiązań inscenizacyjnych. Warto natomiast, jak mi się zdaje, powiedzieć słów kilka o tym, jak zrozumieli tekst Michaux młodzi plastycy.

W ich spektaklu oskarżeniu podlega tylko i wyłącznie świat. W czarnych kotarach, w świetle elektrycznych latarek rozgrywa się dramat — nie, to już nie dramat, to prawie tragedia — niejakiego Piórki Piórko — tak przynajmniej zdaje się sądzić realizator spektaklu i wykonawca roli tytułowej — jest jednym z nas, czyli jest człowiekiem niewinnym a krzywdzonym, człowiekiem osaczonym przez wrogie siły, niejasne i tajemne. Wrogie siły w przedstawieniu miłych studentów — adeptów sztuki plastycznej, wcieliły się w

postacie ubrane w czarne trykoty, postaci, których twarze pozostają nieoświetlone. Zbigniew Kosiński nie zawierzył francuskiemu poecie.

Zaadoptował nie tylko jego tekst. Zaadoptował także jego filozofię. Precyzyjnie złośliwy Michaux został przedstawiony jako epigon Franza Kafki. A losy niejakiego Piórki ułożone zostały z losami Józefa K. Cóż z tego, że młodzi plastycy mieli do czynienia z tekstem, za którym stoją tradycje nadrealistycznej groteski i wolteriańskiej powiastki filozoficznej? Cóż z tego, że bohaterowie Michaux nie wydają się być mieszkańcami kafkowskiego piekła, a są raczej mieszkańcami słonecznej Francji? Cóż z tego, że tekst Michaux jest precyzyjny i klarowny, jak najdalszy od metafizyki? Ostatecznie każdy tekst można przystosować do panującej aktualnie mody. Każdy tekst można celebrować, powołując się na tradycje narodowych misterii i teatru Wyspiańskiego.

Ten spektakl jest naprawde niewesoły. Zagubiono gdzieś dowcip Michaux, czyniąc z autora „Niejakiego Piórki” poetę nieistniejących głębi, poetę metafizycznego. Czyli, w naszym polskim rozumieniu tego słowa, poetę belkotu. I oto nie ma już słońca Francji gwiazdy zamazano czarną farbą. Moda to tylko, czy postawa wobec życia?

Młodym plastykiem nie należy się dziwić. Ich wysiłki nie są przecież osobiste, a spektakl, który mogliśmy oglądać jest tylko ilustracją — jedną z ilustracji — mody, przynajmniej, dość powszechnej. Okazuje się, że wystarczy najdrobniejszy pretekst, by ta moda ujawniła się z siłą zupełnie nieoczekiwaną. Tak, ten spektakl — zrealizowany, o tym warto pamiętać, przez młodych, wesolych ludzi — jest polski, bardzo polski, a to znaczy — bardzo ponury. My, Polacy, nie kościmy już sielanek. Kochamy metafizykę i słowa ciemne, którym odebrano znaczenie. Moda to tylko, czy postawa — wobec życia?

\*) „Niejakiego Piórka” Henri Michaux w przekładzie Jerzego Lisowskiego wystawili studenci Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi. Tekst francuskiego poetę zaadoptował na scenę i wyreżyserował Zbigniew Kosiński, grający równocześnie rolę tytułową; opracowanie plastyczne spektaklu zawdzięczamy zaś Lenie Kowalewicz-Wegnerowej.



str 8 **odqtosy**





Tłum. HELENA NOWICKA



Ziemska rakietka międzyplanetarna „Tantra” znalazła się w tragicznej sytuacji na skutek braku paliwa. Nagle na drodze swej napotkała Żelazną Gwiazdę, która zaczęła przyciągać ją ze straszliwą siłą. Brak paliwa anamezonowego uniemożliwił wyrwanie się spod władzy Żelaznej Gwiazdy. Astronauci postanowili lądować na jednej z planet Żelaznej Gwiazdy. Podczas przelotu nad planetą zauważyli leżący na jej powierzchni jakiś dziwny przedmiot, przypominający ziemski statek międzyplanetarny, a obok dziwny martwy statek w kształcie dysku. Wylądowawszy na planecie astronauci z „Tantry” udali się na zbadanie statku międzyplanetarnego z Ziemi. Był to zaginiony przed wielu laty gwiazdolot „Zagiel”. Załoga jego wyginęła w tajemniczych okolicznościach. Na gwiazdolicie znaleziono nagrane na taśmie magnetycznym ostrzeżenie przed straszliwym niebezpieczeństwem zagrażającym na planecie.

Astronauci postanowili uzupełnić swe zapasy paliwa, paliwem z wymarłego statku. Przeladunku dokonują ostrożnie, lękając się ciągłego ataku nieznanego, straszliwego „czegoś” zamieszkującego dziwną planetę. Podczas „nocy” na planecie astronautów zaatakowały dziwne stwory podobne do meduz.

Erg Noor opowiedział o straszliwych meduzach. Po krótkiej naradzie podróżnicy postanowili wywieźć na wózkach część silnika planetar-

nego. Nad równiną śmignęły ogniste strumienie trzystumetrowej długości, które zmiotły dostownie wszystko na swej drodze. W ciągu pół godziny naprawiono kable, zapewniając sobie na powrót bezpieczeństwo. Wszyscy rozumieli, że anamezon musi być załadowany przed nastaniem nocy. Za cenę olbrzymiego wysiłku udało się ludziom tego dokonać. Wyczerpani podróżnicy z ulgą zamknęli szczelnie luki statku i schronili się za jego opancerzonymi ścianami, przysłuchując się odgłosom szalejącego huraganu. Mikrofony przekazywały z zewnątrz ryk i wycie wichury, co powodowało, że jasno oświetlony statek tak skutecznie broniący ludzi przed światłem ciemności, wydawał się miły i przytulny.

Ingrid i Luma rozstawiły stereoekran. Film wybrano bardzo trafnie. Błękitne wody Oceanu Indyjskiego zapluskwały u nóg siedzących w bibliotece ludzi. Przedstawiano igrzyska Posejda — międzynarodowe zawody wszystkich rodzajów sportu wodnego. W epoce Pierścienia ludzie żyli w wielkiej przyjaźni z morzem. Skoki, pływanie, nurkowanie na deskach motorowych... Tysiące młodych, pięknych opalonych ciał... Dźwięczny śmiech, śpiewy, uroczyste fanfary finału...

Niza nachyliła się do siedzącego obok biologa, który pogrążony był w zadumie.

— Brał pan udział w podobnych zawodach?

Eon spojrzął na nią nieprzytomnym wzrokiem.

— Mówi pani o zawodach? Nie, ani razu. Zamyśliłem się i nie bardzo zrozumiałem...

— Nie myślał pan o tym? — dziewczyna wskazała ręką na ekran. — Jak piękny wydaje się nasz świat w porównaniu z tą czarną planetą, huraganami, elektrycznymi meduzami.

— Tak, oczywiście. Ale ja mam ogromną chęć na zdobycie takiej meduzy. Właśnie o tym przed chwilą myślałem.

Niza Krit odwróciła się od śmiejącego się biologa i napotkała uśmiech Erg Noora.

— Pan też rozmyślał nad złowieniem tych czarnych obrzydliwości? — ironicznie zapytała Niza.

— Nie, ale zastanawiam się nad możliwością zbadania gwiazdolotu — dysku.

Roześmiane oczy kierownika jeszcze bardziej rozłożyły Nizę.

— Teraz rozumiem dlaczego w starożytności mężczyźni zajmowali się wojną! Myślałam, że to tylko przechwałki.

— No, niezupełnie, ale trochę racji ma pani na pewno. Ja jednak kieruję się inną zasadą. Im piękniejsza jest nasza planeta i im bardziej jestem do niej przywiązany, tym więcej chciałbym jej służyć. Zakładać sady, tworzyć metale, energię, żywność, tworzyć muzykę — aby po mnie został ślad, konkretna rzecz zrobiona moimi rękami. Ja jednak znam tylko kosmos, opanowałem sztukę rejsów międzygwiazdowych i tym jedynie mogę służyć

ludzkości. Ale celem jest nie sama wyprawa, lecz zdobycie wiedzy, odkrycie nowych światów, w których stworzymy tak piękne planety jak nasza Ziemia. A pani, Nizo? Dlaczego interesuje się pani tajemnicą statku — dysku? Czy tylko przez zwykłą ciekawość?

Dziewczyna przemogła ogromne zmęczenie i wyciągnęła ręce do kierownika. Ten wziął je w swoje duże dłonie i czule pogładził. Przekonał Nizę. Na znak zgody dziewczyna podzieliła się z nim swym nowym pomysłem. Proponowała, aby jeden z baków na wodę wyposażono w automatyczną pokrywę, a do środka włożono na przynętę kawałek zakonserwowanego, świeżego, mięsa. Jeśli czarne „coś” przeniknie do wnętrza i przykrywa się zamknięcie, wtedy przez specjalne krany trzeba przepuścić przez balon gaz ziemski i zalutować brzegi pokryw.

Eon zachwycony był pomysłością rudowłosej dziewczyny.

Erg Noor natychmiast zajął się przygotowaniem roboty i elektrycznego noża przy pomocy którego miał nadzieję przeniknąć do środka dziwnego dysku.

W mroku cichły burze, ustąpił mróz — rozpoczął się nowy „dzień” trwający dziesięć dob. Pracy zostało jeszcze na cztery dni ziemskie: przetransportowanie ładunków jonowych, niektórych zapasów i cennych aparatów. Erg Noor pragnął również zabrać niektóre osobiste rzeczy poległej załogi, aby po dokładnej dezynfekcji dostarczyć je na Ziemię i oddać rodzinom jako pamiątki. W epoce Pierścienia ludzie nie obciążali się zbyt wielką ilością rzeczy — przeladunek nie zajął więc wiele czasu.

Na piąty dzień wyłączono prąd. Biolog wraz z dwoma ochotnikami — Kej Berem i Ingrid, zamknął się w wieży obserwacyjnej. Czarne stwory pojawiły się niemal natychmiast. Biolog włączył podczerwoną kamerę i dzięki temu mógł obserwować meduzy. Jedną z nich zbliżyła się do baku. Zwinęła macki, skreśliła się w kulę i poczęła wiać do środka. Nagle koło baku zjawili się drugi czarny romb. Pierwszy stwór rozczepił macki — światła gwiazdowych ogników zamigły z nieuchwytną niemal szybkością tworząc pasma wibrującego ciemnoczerwonego światła, które na ekranie odbiły się zielonymi błyskawicami. Pierwsza meduza ustąpiła. Druga natychmiast zwinęła się w kulę i upadła na dno baku. Biolog wyciągnął rękę do guziczka, ale Kej Ber zatrzymał go. Pierwszy stwór również się skulił i polazł za towarzyszem. Teraz w naczyniu znajdowały się dwie potworne meduzy. Zdumienie budziła ich umiejętność zmniejszania objętości ciała.

Naciśnięto guzik i pokrywa zatrzasnęła się. Natychmiast pięć lub sześć potworów oblepiło zamknięty bak. Biolog zapalił światło i przekazał na „Tantrę” prośbę o włączenie ochrony. Czarne cienie swoim zwyczajem pierzchyły natychmiast. Biolog przedostał się do baku i dotknął pokrywę. Poraził go tak straszliwy ból, że nie wytrzymał i

zakrzyczał. Lewe ramię zwisło spalizowane.

Mechanik Taron przydział ochronny skafander. Wtedy dopiero udało się przedmuchać bak czystym azotem ziemskim i zalutować pokrywę. Krany również zalutowano. Otoczono bak zapasową izolacją i unieszczono go w komorze kolekcjonerskiej. Zwycięstwo opłacono jednak bardzo drogo. Paraliż ręki nie mijal mimo wysiłku lekarza. Eon Tal bardzo cierpiał, ale nie myślał rezygnować z wyprawy do dysku i Erg Noor musiał ulec jego prośbom.

Dysk — gość z dalekich światów — leżał znacznie dalej niż to się początkowo wydawało. W mdłym świetle reflektorów podróżnicy mylnie określili wielkość statku. Była to olbrzymia konstrukcja mająca w przekroju co najmniej trzysta pięćdziesiąt metrów. Trzeba było zdjąć kable z „Zagla”, aby umożliwić przeprowadzenie systemu ochronnego aż do dysku. Tajemniczy statek wisiał teraz nad ludźmi stromą ścianą, ciągnącą się wysoko w górę i ginącą w nierównej czerni nieba, gdzie klebiły się smolistoczarne obłoki, przesłaniające górną krawędź dysku. Malachitowa, zielona masa pokrywała jego korpus. Masa ta była bardzo popekana i miała około metra grubości. W pęknięciach widać było jasnoniebieski metal. Statek wyposażony był od strony „Zagla” spiralnie skręconym zgrubieniem o szerokości około piętnastu metrów, a wysokości — dziesięciu. Druga strona gwiazdolotu bardziej wypukła przypominała półkulę przymocowaną do dysku, o dwudziestometrowej grubości. Po tej stronie również widać spiralną wysoką wał, jakby wystąpiła na powierzchnię zewnętrzną strona umieszczonej w korpusie statku olbrzymiej rury.

Ogromny dysk głęboko osiadł swą krawędzią w gruncie planety. U stóp stromej, metalowej ściany ludzie znaleźli stopiony kamień, rozlany jak gęsta smoła.

Wiele godzin stracili badacze na poszukiwania jakiegokolwiek wejścia czy luku, ale nie znaleźli nawet śladu. Nie zauważyli również żadnych otworów dla instrumentów optycznych ani kranów. Metalowa skala zdawała się być zupełnie jednolita. Erg Noor postanowił posłużyć się nożem elektrohydraulicznym, który przecinał najtwardsze i najelastyczniejsze pokrycia gwiazdolotów ziemskich. Po krótkiej naradzie wszyscy zgodzili się naciąć wierzchołek spiralnego wału. Tam bowiem winny znajdować się jakieś przejścia czy kanały, którymi można by przedostać się do wewnętrznych pomieszczeń statku bez ryzyka utknięcia w jakimś ślepych zaułku.

Dokładne badanie statku mogła przeprowadzić tylko specjalna ekspedycja. Aby spowodować przybycie jej na tę niebezpieczną planetę należało wprędę stwierdzić czy ocalały na statku aparaty i materiały z wynikami badań tych, którzy prowadzili go przez nieskończone przestrzenie kosmosu.

Spiralny wał z drugiej strony dysku stykał się bezpośrednio z gruntem. Tam właśnie podciągnięto ref-

preszło przez jego świadomość, spowodowało uczucie niesamowitej nostalgii i podcięło mu nogi. Dumna godność człowieka znikła. Opanowała go tępa pokora. Oblany lepkiem potem Erg Noor bezwzględnie ruszył w stronę czarnych wrot. Krzyk Nizy, który rozległ się w telefonie wrócił mu świadomość. Przystanął, ale ciemna siła pozostała w jego mózgu i znów ciągnęła go naprzód.

Razem z kierownikiem, także niekiedy zatrzymując się i wyraźnie walcząc z sobą, poszli Kej Ber i Eon Tal.

Tam, we wrotach mroku, w kłębach mgły dał się zauważyć ruch jakiejś materii o kształcie zupełnie niepojętym dla ludzkiej wyobraźni, a przez to tym straszniejszej. Nie były to już czarne twory podobne do meduz. W szarym półcieniu poruszał się czarny krzyż z szerokimi podobnymi do łopatek ramionami i wypukłą elipsą pośrodku. Na trzech końcach krzyża widać było soczewki, które odbijały światło reflektora. Podstawa krzyża tonęła we mgle nie oświetlonego wgłębienia w gruncie.

Erg Noor szedł pierwszy. Zbliżył się na sto kroków, do tajemniczego przedmiotu i upadł... Czarny krzyż pochylił się naprzód usiłując widocznie ominąć pole ochronne i dosięgnąć Erg Noora.

Niza z wściekłością, która dodała jej niezwyklej siły, podskoczyła do roboty i pokręciła rączką kierunkową. Powoli i niepewnie podniósł robot ostrze. Dziewczyna wątpiła o swoich umiejętnościach kierowania skomplikowanym mechanizmem, skoczyła naprzód, zasłaniając sobą kierownika. Z trzech końców krzyża wyleciały, podobne do żmij czy błyskawic, strumienie światła. Niza upadła na Noora, szeroko rozłoższy ręce.

Na szczęście robot odwrócił wreszcie nóż w kierunku czarnego krzyża. Ten zgiął się konwulsyjnie, jakby padając do tyłu i znikł w ciemnościach.

d.c.n.

## Ulica Brzozowa

(Dokończenie ze str. 6)

motoryzacyjne trapią młodych ludzi na ulicy Brzozowej. Znam pewną młodą dziewczynę, która niedawno skończyła liceum ogólnokształcące. Po zdobyciu upragnionej matury chciała studiować na uniwersytecie, lecz nie została przyjęta. Postanowiła jeszcze raz zdawać w następnym roku.

Teraz dziewczyna ta wyjechała do rodziny i na wsi czeka na okres egzaminów. Ale czy znajdzie w sobie tyle siły, żeby kilka razy w tygodniu uczyć się?

### NAD BRZozowĄ ZMIERZCHA

Patrzę na ulicę Brzozową w ciemnej szacie wieczoru. Nad ulicą zawisło gęste powietrze przesycone dymem. W tej chwili ulica jest pusta, ale wkrótce z półczesarni wyjdą ludzie i ulica znów będzie tętniła rytmem szybkich kroków. Z jednej strony na horyzoncie zauważyłem potężny komin fabryczny, a z drugiej równie duży dom mieszkalny na ulicy Przybyszewskiego. Na dachu Łódzkiej Wytwórni Wm widać reklamowy neon. Klejśzek z winem i kontury zielonej butelki. Wieczorem ulica jest ciemna, spokojna, ale groźna. Ciszę ulicy zakłóca odgłos pracujących maszyn; niekiedy odgłos ludzkich kroków. Stojące gdzieś gdzie gazowe latarnie starają się rozprożyć ciemności. Jasne światło pada z okien na moją brzozę i na murze widać abstrakcyjne, pełne grozy, ale piękne cienie gałęzi.

### M. ZEGAROWSKI

„Ulica Brzozowa” jest impresją, obrazkiem z naszego miasta, napisaną przez jednego z młodych autorów, członka Klubu Miłośników Literatury, zorganizowanego w „Palacyku” ZMS.



lektor i przewody wysokiego napięcia. Błękitne światło odbite od dysku rozjaśniło nieco nieprzenikniętą ciemność i wyłoniło kształty wysokich ciał — najprawdopodobniej skał poprzecinanych wrotami absolutnej czerni.

Cicho i głucho warcząc podjechał wózek automatyczny wioząc jedyne na statku robota uniwersalnego. Nieczuły na potrójne ciążenie szybko dotarł do dysku i stanął przy metalowej ścianie podobny do tegoż człowieka, z krótkimi nogami, długim tułowiem i olbrzymią groźnie nachyloną głową.

Posłuszny ręce Erg Noora robot uniósł swymi czterema górnymi kończynami ciężki nóż i stanął szeroko rozstawiając nogi, gotowy do wykonania niebezpiecznego przedsięwzięcia.

— Kierować robotem będzie tylko Kej Ber i ja, w specjalnych skafandrach ochronnych — zadysponował przez telefon kierownik. — Pozostali, w lekkich skafandrach biologicznych, proszę odejść dalej... Nagle kierownik zamilkł. Coś



Tekst: MACH  
Foto: KUDAJ

**M**Pismo nasze, przynajmniej to ze skruchą, zbyt mało uwagi poświęcało dotychczas problemom mody. Dopiero ostatnio próbuje odrobić braki.

A zatem, obywateli, cóż to jest moda? Moda jest to godzenie się na rzecz niesprawiedliwą w duchu — powiada sam Juliusz Słowacki. A my, mężczyźni przytakujemy mu aż nazbyt gorliwie. Bo, na dobrą sprawę, kogóż bardziej bije moda po kieszeni? Ale czy mamy rację? Czy moda to sprawa wyłącznie kobiet? Chyba nie. Przyznajmy jednak, że moda męska z natury swej płci jest mniej kapryśna i mniej kosztowna od kobiecej.

Z wiadomości historycznych warto może przytoczyć, że od Ludwika XIV o modzie pań decyduje Francja, Paryż, podczas gdy moda męska od końca XVIII w. posiada orientację raczej londyńską. I jeszcze — że pierwsze ilustrowane żurnale mód powstały z ksiąg kostiumowych XV i XVII w., a za pierwszy żurnal uchodzi paryski „Mercure Galant” z r. 1672.

Po tych wstępnych rozważaniach czas przejść do konkretów. Oto trzy wiadomości z prasy polskiej traktującej o modzie w pierwszych latach tego stulecia. Pismo tygodniowe, ilustrowane po-

święcone sprawom kobiecym „Bluszcz” (cena numeru pojedynczego kop. 20) w numerze 4 z r. 1909 zamieszcza taki przepis na bluzkę.

**BLUZKA Z SUKNA WYSZYTA Z SZMIZETKĄ**

prostą, dzierganą mereżką połączone 1/2 cm szerokie piski stanowią przybranie bluzki z jasnoniebieskiego sukna. Przody ujęte w grupy contra po dwie zakładki, dopełnia karczerek wycięty w zęby i szmizetka z białego siatkowego tiulu wyszyta niebieską przędzą. Plecy przy krytem zapleciu zdobia grupy zakładek. Rękawy rozsyte i wykończone piskami z mereżką. Potrzeba 2 m sukna podwójnej szerokości. Bagatela. Tyle ile dzisiaj na galto.

**BLUSZCZ NR. 3 1909 R. W RUBRYCE ODPOWIEDZI REDAKCJI**

„Elegantce znad Wołgi: A więc po kolei: siostra pani wybiera się do Warszawy i nie wie gdzie stanąć, żeby było wygodnie. Polecam hotel Szwoj. 2) Krem japoński „Banzaj” o którym pani nad brzegiem Wołgi słyszała stoi istotnie na wysokości swojej sławy. Wybiła twarz i szyję, dezynfekuje skórę. 3) Gustowny kapelusz zimowy, tak bardzo teraz

modny toczek z futrzanym obłożeniem, bardzo elegancką woalką i szlafroczek wysze pani Magazyn Mód i Konfekcji p. Preussowej”.

**TENŻE NUMER BLUSZCZU INFORMUJE JAK OŚSIAGNĄĆ PIĘKNY KSZTAŁT BIUSTU:**

„Panie i młode panny mogą osiągnąć piękność biustu za pomocą PILULES MARBOR (pigułki Marbor). Te gwarantowane, znakomite dla zdrowia pigułki są niezrównane dla rozwinięcia, wzmocnienia i ustalenia piersi i nadania jej wspaniałej okragłości bez pogrubienia talii. Flakon z przepisem 3 r. kop. 50 skład główny Ludwik Spiess i Syn”.

Słowem jak powiada Minkiewicz: „Moda modą my jej służyć”.

A współczesność? Prześledźmy teraz z męskiego punktu widzenia kilka modeli zaprezentowanych nam niedawno przez Dom Mody „Telimena”.

1. Zaczynamy od lekkiego płaszcza wiosennego, o którym można powiedzieć tyle, że jest ładny i wspaniale harmonizuje ze złotymi (oczywiście nieosiągalnymi w sprzedaży) szpileczkami. Szczegóły kroju panie znajdują na zdjęciu, szczegóły urody modelki panowie znajdą tam również. Ci ostatni oglądają jednak górę i dół, szepcząc: „ładna”, „ładna”, a

nie ładny, bo panów płaszcz nie interesują.

2. Teraz płaszczek zdejmujemy, by obejrzeć ładną, prościutką sukienkę w groszki z dość ponętym dekoltem. Do tego obowiązuje już kapelusz z takiej samej tkaniny (w kształcie garnka), rękawiczki do łokcia i takie szpilki jak na zdjęciu. Niczego nie pominieliśmy? Oczywiście modelka... Ale to już nasza męska sprawa. Więć po trzecie.

3 Dekolt, broszka, rękawiczki, kapelusz z bogatą woalką. Strój popołudniowy obliczony na Sopot, Juratę, Jastarnię, Międzyzdroje. Bo na dzień polecamy takie oto uroczym wdziaki ko z płócianka, słomkowy kapelusz z szerokim rondem, nylonowe sandaalki i narzutkę przeciwsloneczną. Można też inaczej tak jak ta pani posłużyć się dwuczęściowym wdziankiem w stylu, powiedzielibyśmy dziecięcym. Model ten robi przyjemne wrażenie szczególnie na starszych plażowiczach, przypominając im uroczę chwile dalekiego dzieciństwa.

To na tym byłby już koniec. Wszystkie te modele wchodziły w modę, natomiast uczciwość podobno z niej wychodzi. Cóż, różne są kaprysy... mody.

M  
O  
D  
A



(Dokończenie ze str. 2)

## POKŁOSIE TRUDNEGO KONKURSU

Wszelako nie dla potwierdzenia prawdy nader odczuwanej przez każdego łodzianina, nie dla zmierzania głodu mieszkań w Łodzi, inicjowaliśmy nasz konkurs. W tym planie wart był on funta klaków. Te rzeczy są zbadane i zmierzono. Pytaniem godnym trudu i nakładów finansowych było to, jak owa dobrze znana sytuacja mieszkaniowa odbija się na świadomości ludzkiej. Jak ludzie myślą się wydzwigać z ciasnoty ruder, między suteryn i poddaszy? Co przedsięwzięć, by polepszyć dach nad głową? Jak oceniają osobiste szanse i widoki na poprawę kąta?

Na te pytania konkurs dał odpowiedź. Powiedziałbym, że nawet dość zaskakującą. Z badanej grupy tylko 94 osoby złożyły los swój w ręce „kwaterunku”. 40 czyni starania o mieszkanie poprzez zakład pracy. Aż 50 już wstąpiło do spółdzielni, 66 — oszczędza na książeczkę PKO. Niestety nie ma danych na to, aby stwierdzić, jakiego typu to książeczki. Dość, że ponad 30 proc. ludzi zainteresowanych widzi swe szanse na mieszkanie w oszczędzaniu.

str. 10 **odgłosy**

**W CZYM REWELACJA**

To nie jest jeszcze żadna rewelacja. Ta rewelacja tkwi w czym innym. W danych, dotyczących jednostkowych możliwości „odkładania”. Przypomnę, że zadaliśmy pytanie: „Jeżeli chciałbyś oszczędzać na wkład na mieszkanie spółdzielcze o powierzchni 50 m<sup>2</sup> to przez ile miesięcy i po ile mógłbyś odkładać (zakładamy umownie, że taką wkład wynosi około 20 tys. zł.”.

Na 200 osób jedynie 6 (rencista — 35 lat, elektryk — 26 lat, szwaczka — 36 lat, introligatorka — 33 lata, tkacz — 24 lata i inwalida — 26 lat) nie może nic zadeklarować. Reszta zaś deklaruje od 400 rat po 50 zł (2 osoby: tokarz — 29 lat i ślusarz — 36 lat) i 200 rat po 100 zł (8 osób), do rat po 1.300 zł (1 osoba — mechanik lat 26). Aż 9 osób deklaruje raty „odkładania” po 1.000 zł (elektromonter, pracownik umysłowy, dwóch ekonomistów, dwóch inżynierów, zecer, nauczyciel i osoba, która zawodu nie podaje). Przeciętna zadeklarowanych rat miesięcznych wynosi 427 zł!

Czy dane te są wiarygodne? Absolutnie tak! Wykluczam tu psychologicznie możliwość fałszu in plus. Bo każdy konkursowicz był raczej zainteresowany ze zrozumiałych względów nagro-

dowych w najgorszym przedstawieniu swojej sytuacji materialnej.

Wyciągnąć można z tego małe oraz duże wnioski. Małe: mieszkanie jest wciąż artykułem najpierwszej potrzeby zaraz po strawie i odzieniu; ludzie gotowi są przeznaczać na nie część dochodów; pozycja „na mieszkaniu” liczy się w budżetach rodzin. Duże: ludzie biorą poważnie nową politykę mieszkaniową, nie jako chwyt propagandowy lub nowy środek doktrynalny, ale jako rzetelny produkt sytuacji gospodarczej, oraz politycznej w Polsce popaździernikowej. I wreszcie — ta polityka ma jak najbardziej obiektywne i społeczne szanse powodzenia. Lecz obok szans są też warunki powodzenia.

**3 RAZY „TAK”**

Opowiadano mi pół roku temu taki fakt. W pewnych zakładach łódzkich powstał komitet założycielski spółdzielni mieszkaniowej. Chętnych liczone zrazu na tuziny i na setki. Wszystkim trafiały do przekonania argumenty, że państwo nie może wyłącznie dźwigać ciężarów budownictwa mieszkaniowego, że trzeba żeby ludność się „włączyła”. Ludzie gotowi byli wnieść udziały finansowe i to znaczne. W tym samym czasie ktoś otrzymał

mieszkanie „z kwaterunku”. Zdaniem załogi robotniczej niecałkiem sprawiedliwie. Efekt był smutny i natychmiastowy. Ludzie nie chcieli więcej słyszeć o spółdzielni, a ci co wnieśli już udziały, co rychlej pośpieszyli je wycofać.

Morał jest z tego oczywisty. Nie wystarczy głosić: podział mieszkań budowanych wysiłkiem całego społeczeństwa musi być sprawiedliwszy niż dawniej; ubiegać się o nie mogą tylko ci, których żadną miarą nie stać na minimalne choćby oszczędzanie. Owe zasady, jak wszelkie zasady, trzeba zabezpieczyć w życiu, w praktyce. Niechaj z żelazną konsekwencją będą stosowane. Nie jest to wniosek nagły publicysty.

Pytaliśmy: Stoleczna Rada Narodowa wprowadza system jawnego przedzielania mieszkań z tzw. budownictwa państwowego, polegający na ścisłym punktowaniu warunków kandydata na mieszkanie. Czy uważasz ten system za słuszny? Czy podobny system powinien wejść w życie także w Łodzi? Czy powinno się punktować taki problem, jak wysokość dochodu na członka rodziny (starającego się o mieszkanie)?

Odpowiedziano nam niemal jednogłośnie: 3 razy tak! Na pierwsze pytanie odpowiedziano 179 razy „tak”. Na drugie — 184, na trzecie

— 151. Najwięcej wątpliwości budzą postulat punktowania wysokości dochodu na członka rodziny. Nie szkodzi — temat jest wart dyskusji. Lecz idzie tu o generalia i zasadę. Co prawda, większość nie zawsze ma rację, lecz w tym wypadku ma ją niewątpliwie.

W mniejszości, która powiedziała „nie” są urzędnicy i jeden milicjant. To nawet zrozumiałe. Ktoś musi stać na straży status quo.

Powyższe rzekłem tak — sobie a guzom.

**GDZIE CHCIAŁBYŚ MIESZKAĆ?**

Jak Czytelnicy pamiętają, pytaliśmy i o to. Tylko 47 konkursowiczów odpowiedziało, że w śródmieściu, 73 woli peryferie, 72 — bloki, 69 — wybrało domki jednorodzinne. Ideałem zdaje się być domek jednorodzinny na peryferiach, ścisłej w świetle większości głosów — na Julianowie. Istotne to stwierdzenie.

Nie myślę tu podważać preferencji bloków, tym bardziej, że nasz konkurs zadaje kłam „antyblokowej” pieśni gminnej. I preferencja bloków — to niższe koszty budownictwa.

Niemniej zarówno wobec danych o jednostkowych możliwościach oszczędzania i

wobec tego ideału, za którym kryją się rezerwy produkcyjne, trzeba by budownictwo domków w Łodzi również preferować. Tymczasem stoi ono u nas w martwym punkcie. Wiem, że jest to złożony problem. Zwłaszcza urbanistycznie. Słyszałem niejedną mowę na ten temat. Lecz od narady architektów z udziałem ojców miasta minęły dwa miesiące i nie ma oznak ruchu. Nie slychać, aby powstał postulowany zespół, mający wypracować ekonomiczny i społecznie atrakcyjny typ budownictwa domków. Potrzeba energicznych działań w tym kierunku jest widoczna. Żaden z projektów typowych, któreśmy w toku konkursu poddali ocenie Czytelników nie uzyskał aprobaty. Jeżeli projekt ładny — to za drogi, jeżeli tani — to znów brzydki.

Ważnym elementem dla potrzeb podniesienia budownictwa mieszkań, aż 90 naszych konkursowiczów mogłoby zrezygnować z partycypacyjnej podległości, 85 — z przechowywania wózków i rowerów, 82 — z wydzierżawienia spiżarni i 78 z wanny (o ile ją zastąpi kabina z prysznicem).

Jeżeli projekta nie uznają tego za vox populi, niech poprobuja choćby z wanną. Zapewniam — będzie zimny prysznic.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

# Miejszadiny

Pod redakcją Jana Huszczy

## O imprezach rozmaicie

Od dłuższego czasu Dni Oświaty, Książki i Prasy nasuwają wiele wątpliwości, nie godzących — rzecz jasna w samą szlachetną ideę, na różnie sposoby realizowaną.

Problemów jest dużo, więc chciałbym zatrzymać się za ledwie na paru. Będzie miał na myśli imprezy literackie (odczyty i spotkania autorskie), wyjazdy teatrów i wystawy malarskie.

Zacznę od stwierdzenia: sama Łódź ma tego rodzaju wydarzeń dość dużo, no bo najłatwiej o ich organizację w mieście. Kłopoty — zwłaszcza, jeśli chodzi o imprezy literackie — zaczynają się tam, gdzie zaczyna się troska o frekwencję. Mówiąc szczerze, frekwencja w różnych świetlicach nieraz zawodzi. Pociągamy się na ogół tym, że warto czasem mówić do dziesięciu zaangażowanych słuchaczy, niż do stu przypadkowych. W tym jednak pocieszeniu się zawsze można wy-

kosztowniejsze, ale trzeba na to się zdecydować, ba, trzeba nawet instytucje „robiące w kulturze” lepiej uzbroić w odpowiedzialnych organizatorów i nie pozabawiać ich środków lokomocji.

Chciałoby się, żeby wszystkie łódzkie teatry pomyślały o wypadach przynajmniej do powiatowych miasteczek. Na telewizory nie ma jeszcze co liczyć, nie należy także zważać na wszystkie na Teatr Ziemi Łódzkiej.

Nie bardzo wiem, jak wygląda w tej chwili sprawa montażów literackich (realizowanych przez aktorów), z którymi w przeszłości nieraz szczęśliwie docierano zwłaszcza do szkół. Przy okazji należy się także upominać o montaż wokalnno-muzyczne, które również cieszyły się dużym powodzeniem, a wprowadzały przy okazji i w zagadnienia muzyczne.

Chodził wreszcie o wystawy malarskie. „Płate Koło” robiło wypad w teren z obrazami, którym towarzyszyli ich twórcy. Jak mi opowiadano, wypadki udawały się, wywoływały dyskusje. Przenoszenie wystaw malarskich — choćby ograniczonych do niewielkiej ilości eksponatów — niewątpliwie wymaga żywej troski. Na tle wystawionych obrazów łatwo jest o wywołanie rozmowy, polemiki. Nie wolno przejmować się tym, iż w licznych wypadkach może ona być naiwna i nieudolna. Mało kto potrafi fachowo dyskutować, ładnie i trafnie myśli ubrać w słowa.

Obrazy należy pokazywać rozmaite, z różnych wywodzące się konwencji, byle tylko rzetelne.

W zeszłym roku napisałem wierszyk o często spotykanej na prowincji obojętności dla przedsięwzięć kulturalnych, pomijając ściśle rozrywkowe. Istotnie: z jednej strony sromko nieraz wola się o imprezy, z drugiej zaś kwitując się je wzruszeniem ramion. Trzeba sobie zdawać sprawę z tego stanu rzeczy, ale w żadnym wypadku nie po to, żeby na obojętność — lub raczej uśpienie — odpowiadać podobną obojętnością.

Ponieważ mam zawsze skłonność do optymizmu, wierszyk pozwole sobie przytoczyć. „Zdrowy optymizm” trudność to i widzenie trudności w ostrym świetle. Niechże więc uzupełni te pobieżne rozważania okolicznościowe i wierszyk pod tytułem:

## List z miasteczka

Mówili: „Cheemy kultury, dość tych wieczorów ponurych,

piwa w gospodzie i biata, liści, którymi wiatr miota...”

Kierownik pewnej placówki słyszał te wszystkie rozmówki.

Ponieważ duża miał salę, nie zastanawiał się wcale:

kwartel sprowadził z daleka, stanął w drzwiach sal i czeka...

Lecz tak się jakoś złożyło: słuchaczy prawie nie było...

Kierownik tym się nie zraża, ściga na wieczór pisarza...

Lecz tak się jakoś złożyło: słuchaczy prawie nie było...

Kierownik, wierzący w sprawę, malarską przywiózł wystawę...

Znów tak się jakoś złożyło, że widzów prawie nie było!

Kierownik zamknął więc budę, poszedł, jak inni, na wódek.

gdzie — pijąc — jeczano chórem:

„Czas, aby robić kulturę...”

dość tej gospody i biata, liści, którymi wiatr miota!”

## Przegląd prasy

Scena II

Tygodnik „Kurier Święteczny” w jednym z numerów z 1906 roku przynosi opartą na głębokiej znajomości psychiki ludzkiej jednoaktową sztukę „PRAWDA JEST ZŁOTEM”...

Scena I

Mama z płaczem żegna córeczkę w przeddzień ślubu i daje jej napomnienia macierzyńskie.

— Pamiętaj, Halinko, żyj zawsze prawdą. Wierzą mi, na szczerze prawdziwie zawsze dobrze wjdziecie!

— Dobrze, mamusiu. Zawsze będę mówiła prawdę wobec męża i wszystkich w ogóle.

W rok po ślubie. Pani Hali na przypadkowo dopiero o jedenastej wieczorem wychodzi od swego przyjaciela.

— O, aleśmy się zapomnieli, Hali. Cóż to powiesz mężowi na pytanie, skąd tak późno wracasz?

— Ha, cóż, wyznam mu, że wracam od kochanka...

— Ach, ty bliagierko!...

Scena III

Po powrocie do domu.

— Hali! Po jedenastej! Bóże się Boga, skąd tak późno wracasz?

— Skąd? Od kochanka...

— Ach, ty bliagierko, no, daj buziaka...

## PRZYSŁOWIA AFRYKANSKIE

### Z Dahomeju

Przysłowie to wierzchowiec słowa; gdy słowo ginie, można je odnaleźć z pomocą przysłowia.

Przysłowie jest wierzchowcem rozmowy; gdy rozmowa ustaje, przysłowie może ją ożywić i przyspieszyć.

Kto nie ma zębów, niech się nie gorszy gdy inni gryzą mięso.

Kto chce psa zabić, oskarża go, że mu stłukł garnek. Kogo raz ukąsiła żmija, ten boi się nawet gładzi.

Nie należy chętnie się umiejętność tańca, kiedy tamtamy dudnią już blisko.

Z bawołu, który nie ma ogona, sam Bóg spędza muchy.

## Przysłowia malgaskie

Ludzie są jak żdźbła na polu Pana Boga; Bóg wyrzyna, które chce sobie zabrać, a zostawia te, które chce zostawić.

Zrządzenia boskie są jak zachodzące słońce; trafiają do wszystkich drzwi.

Ludzie są podobni do rozgałęzionych dyni, które wszystkie wyrastają z jednej łodygi.

Niech wasze stosunki z przyjaciółmi będą na podobieństwo przyjaźni ust i ręki. Gdy ręka cierpi, usta na nią chuchają, gdy usta boją, ręka je rozciera.

Nie kochajcie ludzi tak jak kochacie drzewa, które ustawicznie to pociągacie do siebie, to odpychacie znowu.

Jeżeli jest ciemno, można ją przepłynąć w łodzi. Jeżeli rów jest głęboki, można go przebyć przy pomocy drabiny, lecz na zły czyn nie ma rady.

# WILLIAM SCULLY

William Scully nie reprezentuje w sposób najbardziej typowy tego, co zwykliśmy nazywać „żartem angielskim”. Zresztą, chyba i tak nikt nie potrafi dokładnie sprecyzować, na czym polega osławione brytyjskie poczucie humoru...

Jedno jest pewne: dowcipy Scully'ego są dla nas jakieś prostsze i zrozumialsze, niż dowcipy wielu innych jego współziomków. Ta prostota nie przeszkadza też pewnie Anglikom, bo Scully należy ciągle do najpopularniejszych rysowników brytyjskich. Świadczą o tym choćby wyniki kilku plebiscytów, w których Scully zajmował zawsze zaszczytne lokaty.

William Scully nie szuka niedorzecznych, dziwnych skojarzeń. Odnajduje komizm w codzienności, w swoim otoczeniu, w przypadkach, które na dobrą sprawę „i tobie mogą się zdarzyć”. Tak zresztą właśnie zatytułował Scully swój znany cykl rysunków (obok — trzy żarty z tej serii).

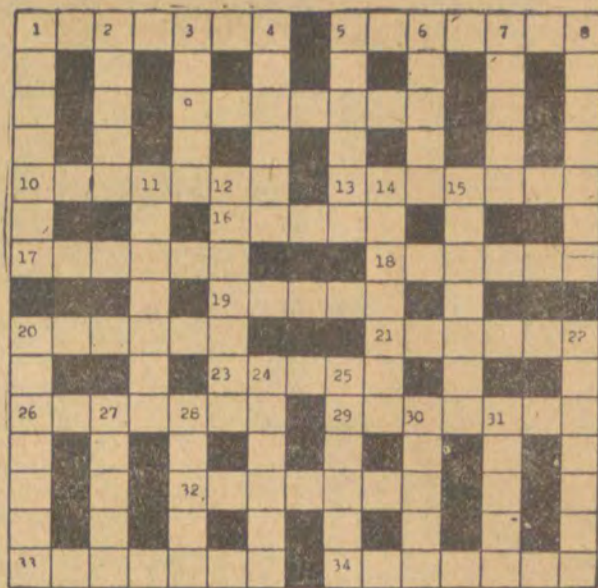
To jeszcze nie wszystko. Scully reprezentuje humor daleki od zimnego, beznamiętnego koncepcjonowania, wiadać wyraźnie, że rysownika jakoś obchodzą przedstawiane postaci. Najczęściej można tu wyczuć delikatną, wyrozumiałą ironię.

Scully publikuje swe żarty w wielu magazynach ilustrowanych, najczęściej jednak w czołowych pismach humorystycznych — „Punch” i „London Opinion”.

J-ert.

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” C Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 88, Tel. 244-79 O Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł. O Redakcja nie zamawia kopii zwraca O Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — zeznaczeniem na „Odgłosy” Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 1340 IV. 88. 8-3

## NASZA KRZYŻÓWKA



### ZNACZENIE WYRAZÓW

Pionowo — 1) Ogólna nazwa tworzyw sztucznych. 5) Ulu-biony pokarm Włocha. 9) Ulu-da, urojenie. 10) Cukier mleczny. 13) Naczynia i sztuczne stołowe. 16) Poeta polski. 17) Bławatek. 18) Doświadczenie. 19) Pisarz brazylijski. 20) Parów. 21) Plot. 22) Podświadome lub nieświadome wyobrażenie określonej osoby, wytworzone we wczesnym dzieciństwie. 26) Aleja z drzew albo krzewów. 29) Nazwa warownych zamków albo pałaców arabskich. 32) Skreca. 33) Naczynie do destylacji o długiej, przechylonej w bok szyjce. 34) Odmiana gryki.

Pionowo — 1) Gad z rzędu jaszczurek. 2) Zdrobiałe imię meskie. 3) Stopień szybkości z jaką utwór muzyczny ma być wykonany. 4) Busola. 5) Galaretowate żyłki morskie. 6) Potrawa mięsna. 7) Jednostka monetarna w Indiach. 8) Wo-

dospad w Ameryce Północnej. 11) Niezbędna w klasie szkolnej. 12) Poranek, świt. 14) Warownia w miastach w dawnej Grecji. 15) Narodowość lub roślina uprawna. 20) Mielka, cienka tkanina wełniana lub półwełniana, barwiona lub wytłaczana. 22) Sztuczne usypianie. 24) Symbol pracowitości. 25) Modniś, elegant, człowiek ugrzeszczony. 27) Nasyb kolejowy. 28) Błekt. 30) Energia wypromieniowana lub pochłonięta przez atom lub drobne ciała. 31) Łagodny wietrzyk zachodni lub południowy.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Julian Bartnicki, Łódź, ul. Piotrkowska 56 m. 7.

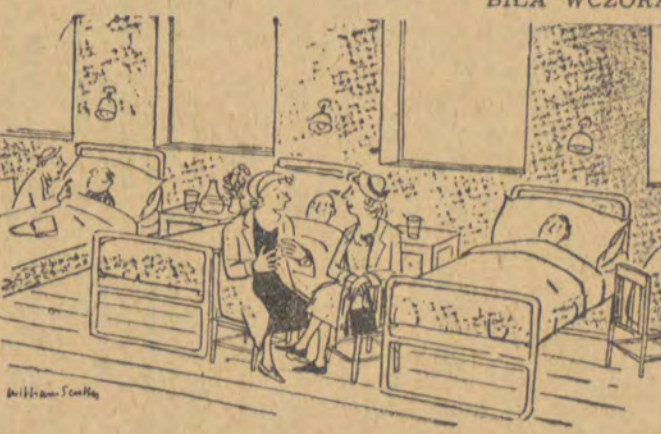
2. Bogusław Twardowski, Karczew k/Zduńskiej Woli, Annapole Nowe 6.



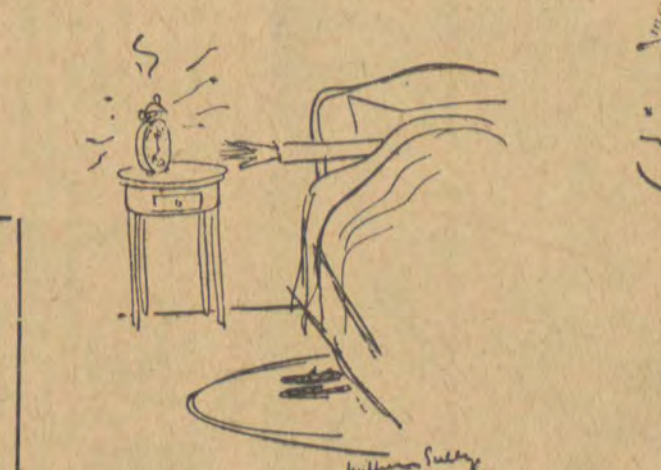
„I TOBIE MOŻE SIĘ ZDARZYĆ”



— CZY MOŻEMY SIĘ DOWIEDZIEĆ — CO PANI ROBIŁA WCZORAJ WIECZOREM...



BEZ SŁÓW



„I TOBIE MOŻE SIĘ ZDARZYĆ”



„I TOBIE MOŻE SIĘ ZDARZYĆ” — Przynieśliśmy zamówioną łódzkę...

odgłosy str. 11



A. NIESMIAŁEK

## Nowa psia gwiazda z Hollywoodu



"Wierny włóczęga" Tommy Kirk z jednym ze zwierzęcych bohaterów filmu Disneya.

## Idée na przefargu

ANDRZEJ DOŁĘGA



z przychylnym przyjęciem masowego widza, a wiadomym teżże przychylności obławian stanie się radomny wzlot „krywej frekwencji”, wówczas najwładniejsi twórcy dzieła zostaną usatysfakcjonowani metodą wymyśloną przez Fenicjan, Metodą ta, odhad świat nowoczesny światem — umożliwiania nabywcie niedowolnych przedmiotów zbytku. I nie narodził się jeszcze przedstawiciel rodzaju ludzkiego, który by wobec takiej szansy pozostał (dla dowcipu?) obojętny.

Wywół obserwatora pzbawiony byłby jednakże sensu, gdyby nie okoliczność, prosząca się o względy pod uwagę. Żyw. masowy widz, czyli ów własnie, który zasiadając na sali kinowej pracuje komus na tanienym, bynajmniej nie przepada za filmami szlachetnymi i humanistycznymi. Niezależnie od ich wartości dydaktycznych, artystycznych i wychowawczych — masowy widz woli inne. I niezależnie od naszych ubolewań — kocha wszelkie rozrywkowości — rewie, filmy komediowe, niekiedy kryminały, jeśli nie wymagają zbytniego angażowania uwagi. Na niezłe eksponowanym miejscu znajduje się także melodramat. I to — niestety — wszystko.

W czym więc interesie leży produkcja filmów, które dla pewnego ułatwienia nazwiemy „potrzebnymi”? Może zajmowanie się filmami — skazanymi z natury rzeczy na mniejsze powodzenie — leży w interesie scenarzystów i reżyserów? Na pewno nie. Potrafią ocenić sytuację. Tu nie ma kompromisu: jakże nakreślić film, w którym rewolucjonistki tańczyłyby na stole kankana? Jakże pokazać strąk bez strip-tease'u? A bez tego osobiste ryzyko finansowe twórcy dalej się być nieuniknione. O ileż wygodniej, mając na uwadze tanienym — nakreślić tuzinkową komedię, bez stu pobocznych kłopotów i medytacji!

Oczywiście tendencyjne uprzedzanie sprawie, do problem jest bardziej skomplikowanym. Przynajmniej pod względem psychologicznym. W każdym razie wszystko sprowadza się do jednego: treść opisanego stanu stoi w sprzeczności z porządkiem forsowanym w innych dziedzinach naszego życia, w sprzeczności z zasadami kierowania się zyskiem społecznym (w pojęciu jak najszerszym). Metoda tanienym jest słuszną i rozsądną. Ale powinniśmy się znaleźć równie słuszną i rozsądną odchylenia od tej metody — gdy w grę wchodzi film ambiwny, film nieobliczony na kasową, film o charakterze specjalnym. Być może, że film takiowy nie narodziłby się nawet, gdyby nati chano i dnuchano. Na razie jednak mowcy nie ma o jakiejkolwiek troskliwości, gdy nawet teoretyczne rozważania zaczynają się i kończą na pojęciu opłacalności. W tej sytuacji obserwator nie myśli o tym, że jego zdaniem idee znalazły się na przelataru. Nie mają zbyć pomysłowych horoskopów na korzystniejszą sprzedaż w licytacji. A może ktoś je jednak kupi?



Foto: Zofia Nasierowska (fragment)

Walt Disney zrealizował nowy dziny, która z tarapatów życia-film pt. „Wierny włóczęga”. Scenariusz wybrała pies — właśnie nariusz filmu oparty jest na książce Spilke, bohater filmu Disneya ce Freda Gipsona, tłumaczonej na ma swoich żartach partner-sześć języków. Bohaterem filmu ród wśród karykatur wyróżnia się Disneya jest pies o niezwykłej jednak inteligencji.

Ludzie, nie reprezentują: Dorospiej gwiazdy Lassie („Powróć ty Macieś, Fier Parker oraz Lassie”), Podszarżnia już Lassie dwaś ankady wykonawcy — 15- nie znosi trudów ciężkiej pracy Leśni Tomany Kirk i 7-letni Ke-w alelier. Spilke Disney znalazł w 1953 roku. Pies znajdował się wówczas w opłakanym stanie fizycznym.

Fabule filmu „Wierny włóczęga” Spilke'a — krytyka oceniała wysostanowią losy pewnej ubogiej roko.

EDWARD EYLER

## DRODZY ZWYCZAJNI

Rodzinny swiatek filmowy przeżywa dwie sensacje: odkrycie jednej z pokazitniejszych mistyfikacji prasowych, tudzież wzięcie znakomitej aktorki, która go

Minęło trochę czasu. I zapomniano by o rewelacji- tym „wywiadzie”, gdyby nie korespondentka szwajcarska (zg. „Film...”). Korespondentka rozmawiała z Chaplinem i dowiedziała się, że o „Kapeluszu” i panu Fijewskim słyszy on po raz pierwszy! Dia „Filmu” była to gratka. Materiał dowodowy został wydrukowany, kogo trzeba naplutowano i myślałby ktoś, że to już koniec atakacji. Ale to był dopiero początek. Najnowszy numer „Filmu” donosiła garść szczegółów i słowa gorzocy. Szczegóły tęcza się atery „wywiadu”, gorzocy — kolegow dziennikarzy filmowych, którzy zapomnieli poinformować opinię publiczną, że dali się swego czasu nabrać, a teraz na domiar złego nie żądają śmieriści ewinynej redaktorów „Ekranu” i dowcipnego „ZAF-u”, pozostaje tylko ogłosić, że się Teraz „Ekranowi” pozostaje tylko ogłosić, że się nie musiał co widział i z kim mówił. Poki się „Ekran” na to nie zdecydował — stan meczu wynosi 1:1. Bo niedługo, na odmiennie były redaktor naczelny „Filmu” przysiąpany został w sposób wręcz hańsliwy. „Ekran” odkrył wówczas, iż ów redaktor pomie-

cił w „Filmie” własne zdjęcie z Gerardem Philippe, a zdjęcie to było... fotomontażem.

Swoją drogą trudno wydułnąć, skąd cały krzyk. „Wywiad” nie jest pierwszym i ostatnim pomysłem reklamowym. Na większe i bardziej absurdalne — nasza prasa nierzadko już się dała nabrać. Z przybycia Massiny zrobiono nieomal wzięcie przyjacieli! Dziwnym trafem zapomniano dodać, że wzięcia ta odbywa się na podobnej zasadzie jak nader często wzięcia aktorów amerykańskich i zachodnioeuropejskich w Hiszpanii. Należy bowiem do zwyczajów praktykowanego przez obrotnych producentów, że film kręci się tam, gdzie to wypada najłatwiej. Sądzę, że usługi świadczono przez nasza kinematografię na rzecz ekipy nakreślającej „Jones und Erdme” bardzo się obu stronom opłaca. Nie zmienia to jednak faktu, że o wzięciu Gintletty Massiny — choć jest dla nas miłą niespodzianką — można było napisać inaczej.

Rodzinny rynek filmowy nabrali cech dość zwyczajnych. Czynie jest nawiązywanie „wywiad”, dzięki któremu sympatyczny aktor — Fijewski — wyszedł cokolwiek na dudka, wobec obłędnej reklamy prowadzonej przez takie np. „Wiadomości Filmowe”, gdzie nawet szawelna „Noe posłubna” skwitowana została pochiebnią, acygrzeżnościową zmianą! Mamy już gwiazdy o popularnych nazwiskach, mamy przemysł o niezłej bazie technicznej, dubbing — na który się pomni — i kromikę — którą lubimy. Gdżś się coś spaliło, gdżś się kręci dalej — kinematografia wzięcia kilka nasrd i dała parę kieszon, niemniej w sumie ładnie na siebie zarabia. Nie trzeba było stracić czasu, nim wreszcie się staliśmy zwyczajni!

Poszkodowany mimo woli, Tadusz Fijewski z matronką



Poszkodowany mimo woli, Tadusz Fijewski z matronką